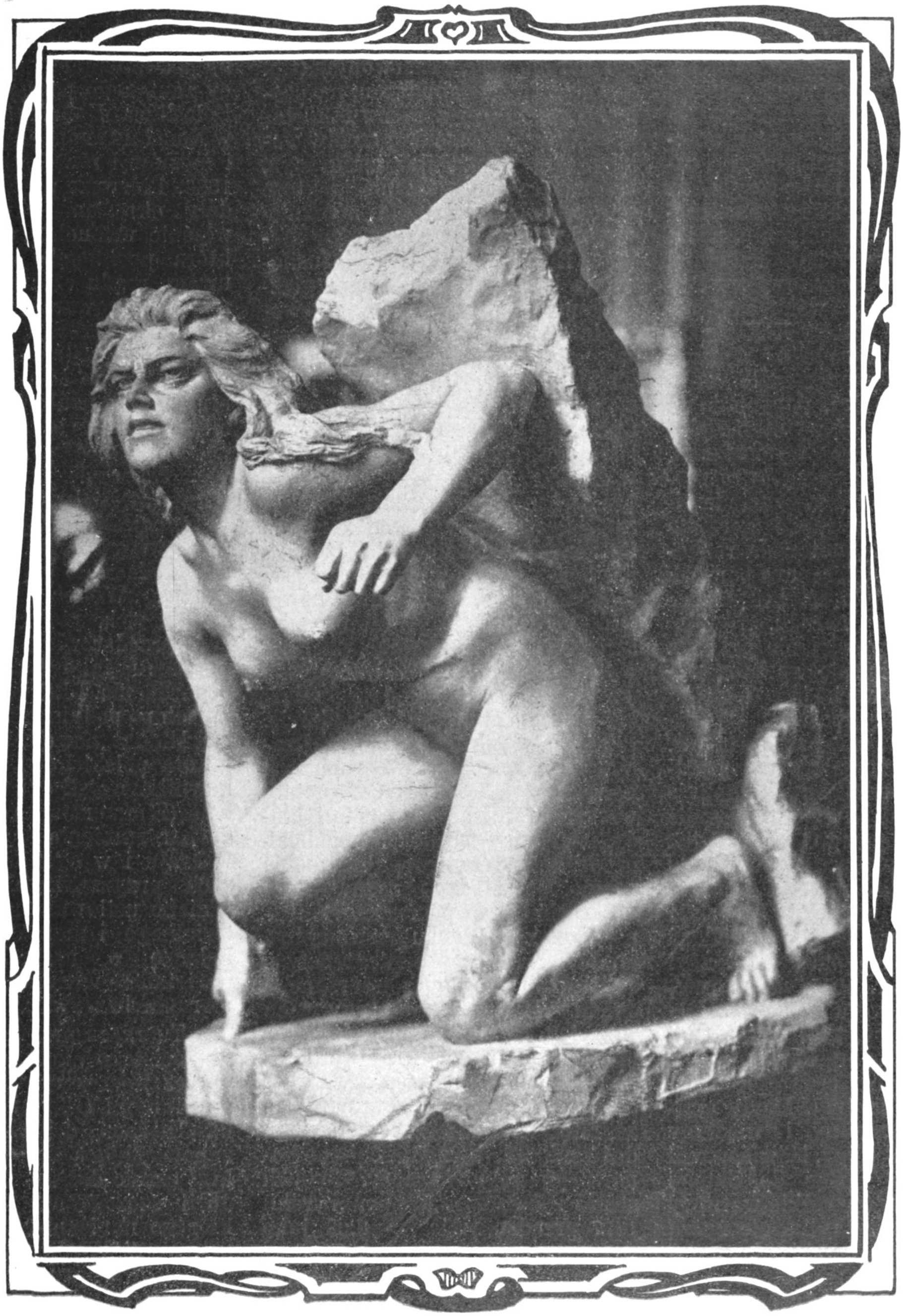

„Wyzwolenie“ — rzeźba Józefa Gabowicza.

Niedoszłe powstanie polskie w r. 1877.

I.

Myśl zbrojnego wznowienia sprawy polskiej w związku z tradycyjnym antagonizmem turecko-rosyjskim, który po czterykroć w ciągu niecałych stu lat krwawą zawieruchą napełniał wschód Europy, pokutowała w Polsce, a zwłaszcza wśród emigracyi naszej, od połowy XIX wieku. Ze zwycięską Turcyą do Warszawy!—to marzenie drzemało w duszy dwóch pokoleń, popychało do czynnych usiłowań wybitne osobistości ówczesnego wychodztwa, natchnęło Sadyka paszę do romantycznych planów poruszenia kozaczyzny i niezniweczone gorzkim zawodem, jaki zgotowała rachubom polskim konferencya paryska z r. 1855, przeżyło ostatni jeszcze wysiłek zbrojny narodu.

Wojna krymska nie położyła końca ścieraniu się sprzecznych interesów na wschodzie i pokój utrzymywał się obustronnem tylko osłabieniem przeciwników. Zwolennicy rzucenia sprawy polskiej przy sprzyjających okolicznościach raz jeszcze na szalę szczęścia wojennego, widzieli już w bliskiej perspektywie nowy konflikt rosyjsko-turecki i kojarzyli z nim niezgasłe nadzieje rozwinięcia na nowo sztandaru niepodległości. W takiej intencyi odbyła się w r. 1875 misya wysłanego ze Lwowa za kordon Benedykta Rahozy, który miał zbadać tam stan umysłów i podjąć próbę stworzenia organizacyi narodowo-rewolucyjnej. Młody emisaryusz, schwytany i więziony przez kilka miesięcy, ledwie uszedł z życiem, przywożąc do Galicyi wiadomość, że wszystkie warstwy w Królestwie nie tylko nie życzą sobie żadnej ruchawki, ale ewentualnym próbom wywołania jej stawiałyby energiczny opór. Niezrażona tem niepowodzeniem grupka lwowska nie dała przecież za wygranę. Postanowiła rozszerzać swą ideę zwolna, starając się głównie o pozyskanie ludu wiejskiego. Rahoza wyjechał do Szwajcaryi i w Bendlikonie wydawać zaczął pismo agitacyjne „Wici“, które przygotowywać miało grunt pod nowe powstanie, rzucając już w pierwszym numerze myśl wskrzeszenia organizacyi narodowej „z czerwonym (t. j. powstańczym) sztandarem na czele“. Tym razem z niezwykle stanowczym protestem przeciw robocie tej wystąpiła emigracya, nie wyłączając osobistości, które w hierarchii powstania styczniowego zajmowały najwyższe stopnie. Również we Lwowie usiłowania Rahozy wywołały energiczną kontrakcyę, której powagi swego imienia użyczył zacny i powszechnie szanowany Tadeusz Żuliński. „Wici“, nie znalazłszy dostatecznego poparcia, po sześciu numerach przestały wychodzić i sprawa zdawała się być ubitą w zarodku.

Lecz niepowodzenie to okazać się miało wkrótce złudnem i nietrwałem. Nadciągała już zwolna, coraz bardziej wyczuwać się dająca w powietrzu, burza nowej wojny tureckiej, która w szerszych tym razem kołach, niż grupa niefortunnego emisariusza z roku 1873, obudzić miała na nowo niewygasłe nadzieje. Przez cały rok wisiało nad krajem niebezpieczeństwo ruchawki powstańczej. Powtórzyć się miały wszystkie dawne złudzenia i błędy, miały przyjść nieodpowiedzialne organizacye, uzurpujące sobie przywileje władzy narodowej, odżyć rachuby na pomoc zagraniczną, a w kręgi ruchu porwaną być miała pewna część społeczeństwa, zbyt drobna, aby zamierzonego dzieła dokonać, wystarczająca przecież, by wywołać katastrofę, mogącą pogrążyć kraj we krwi i gruzach. Równocześnie wszakże okazać się miało, iż w narodzie zebrała się już dostateczna suma doświadczeń, by zgnieść próbę ponownego kroku rozpaczy. Wybuch został zażegnany. Wypadki roku 1877 przedstawiają się dziś jako walne zwycięstwo rozwagi patryotycznej nad porywem nieutulonego uczucia, zwycięstwo, którego dzieje należą do najmniej znanych, można prawie powiedzieć: do nieznanych zupełnie kart naszej historyi porozbiorowej.

*
* *

Gdy po zrzuceniu z tronu sułtana Abdul-Azisa stało się pewnem, że Rosya wystąpi zaczepnie wobec Turcyi, postanowili zwolennicy wplątania sprawy polskiej w wir oczekiwanego zatargu wojennego przystąpić natychmiast do działania. Ze Lwowa wyszła myśl nawiązania stosunków z rządem tureckim. Duszą tego kierunku był Wacław Wołodźko, emigrant z r. 1863, były inżynier w służbie tureckiej i literat, znany pod imieniem Koszczyca, mający zaufanego pośrednika w osobie Bolesława Holtza, zamieszkałego w Konstantynopolu, inżyniera dróg i mostów i również emigranta z r. 1863. Pierwsze próby zbliżenia nie dały określonego wyniku, gdyż właśnie wybuchła wojna serbska, która pochłonęła chwilowo całą uwagę rządu ottomańskiego! Dopiero po zawarciu zwycięskiego pokoju z serbami we wrześniu r. 1876, po ustąpieniu umysłowo rozstrojonego Murada i wstąpieniu na tron sułtański Abdul-Hamida, rząd Porty wziął pod uwagę proponowaną sobie kombinacyę. Na czele jego stał główny przedstawiciel tureckiej partyi wojennej, Midhat-pasza, nieubłagany wróg Rosyi, prący wszystkiemi siłami do orężnej z nią rozprawy. Wobec spodziewanego starcia wciągnięcie w grę polaków przedstawiało się rządowi tureckiemu jako horoskop nie do pogardzenia. Już w pierwszych dniach po podpisaniu pokoju z Serbią, Midhat powołał do siebie emigranta polskiego z r. 1848, pułkownika wojsk egipskich Arturabeja (Zimmermana), zachęcił go do porozumienia się z rodakami w kraju i w ogólnikowych wyrazach przyrzekł ze swej strony udzielić usiłowaniom polskim materialnego i moralnego poparcia. Relacyę o posłuchaniu swem u wielkiego wezyra wyprawił Zimmerman bez zwłoki do Lwowa.

Tu rzecz przyszła pod rozwagę ścisłego koła, do którego oprócz Koszczyca wchodzili między innymi Giller i Alfred Młocki. Ułożono doraźną odpowiedź, zapowiadającą nadesłanie w krótkim czasie do Stambułu obszernego i szczegółowego memoryału, którego napisanie poruczono Koszczycowi, a równocześnie, opierając się na przyrzeczeniu pomocy ze strony Turcyi, uchwalono przystąpić natychmiast do utworzenia organizacyi, której dano nazwę „Konfederacyi narodu polskiego z roku 1876“. Robota, prowadzona na razie w ścisłej tajemnicy, postępowała szybko i energicznie. Pod koniec września organizacya objęła już zapalniejsze żywioły w całym kraju; podjęto

również próbę nawiązania stosunków z Warszawą, dokąd wyjechał w tym celu głośny w owym czasie powieściopisarz Sabowski, redaktor „Dziennika mód“ w Krakowie. Na czele ruchu stanęła „Rada generalna Konfederacyi narodu polskiego“, zwana krócej „Radą konfederacką“, lub „Generalicyą“, z tymczasową siedzibą we Lwowie. W skład jej wchodziły przeważnie osobistości, nie odgrywające wybitniejszej roli w życiu publicznem. Prócz Koszczyca zasiadali tu: literat Szumski, Kruk-Heidenreich, były generał z r. 63, w owym czasie urzędnik kolei, Robert Thieme, rotmistrz z powstania, rysownik wydziału krajowego i kupiec Edmund Riedl. Nadto przewijali się przez kadry „generalicyi“ rozmaici inni konfederaci przygodnie i w miarę mniejszych lub większych agend, gdyż żaden statut, ani regulamin nie obowiązywał. Głównymi działaczami i właściwymi twórcami organizacyi byli Koszczyc i Teofil Szumski.

Tej władzy naczelnej podlegały „rady prowincyonalne“ trzech zaborów: Galicyi, Poznańskiego i Królestwa. Do rady galicyjskiej wchodzili: dyrektor banku Simon, hr. Artur Gołuchowski, adwokat Semilski, inspektor kolei bar. Gostkowski i krawiec Niemczynowski, ex-kapitan z r. 63, późniejszy poseł do parlamentu. W radzie poznańskiej zasiadali: znany literat, pułkownik z r. 63 Callier, poseł Aleksander Guttry i Wł. Niegolewski. We Lwowie utworzoną została nadto delegacya miejska, w której znajdowali się między innymi: Zima, Romanowicz, literat Widman, późniejszy prezydent miasta Dąbrowski i kilku innych, przeważnie uczestników wypadków r. 63. W Królestwie wreszcie, o którego skórę głównie chodziło, konfederacya znaleźć musiała dla siebie grunt niezbyt podatny, gdyż nietylko nie udało się tu wprowadzić urządzeń na wzór Galicyi i Poznańskiego, ale naczelna władza ruchu, rezydująca nominalnie w Warszawie, faktycznie urzędowała we Lwowie.

Jednocześnie ustanowiono w najważniejszych punktach za granicą pełnomocników, którym do pomocy dodani zostali agenci wojskowi i zalecono tworzenie oddziałów konfederacyi pod różnemi nazwami, żeby tem łatwiej odwrócić od nich uwagę i zatrzeć ślad związku ich krajem. Na Anglię pełnomocnikiem został Walery Wróblewski, generał z czasów komuny paryskiej, na Francyę pułkownik Rydzewski, w Rzymie hr. Wł. Kulczycki, były agent rządu narodowego w r. 63, w Konstantynopolu Zimmerman. W Wiedniu, w Berlinie, Petersburgu—rzecz charakterystyczna—nie było wcale pełnomocników. Tu agendy odnośne spełniali zwykli konfederaci. Pełnomocnicy otrzymali już we wrześniu od „generalicyi“, a raczej od jej „oddziału wykonawczego dla spraw zagranicznych“, obszerne pouczenie o swoich obowiązkach. Głownem zadaniem ich było starać się o po-

Wacław Koszczyc.

Teofil Szumski.

zyskanie opinii publicznej dla sprawy polskiej i przekonanie jej, iż interes Europy wymaga, aby przy zbliżających się wypadkach kwestya polska została postawioną na ostrzu miecza. Na wypadek zetknięcia się urzędowymi przedstawicielami mocarstw pełnomocnik, nie zdradzając tajemnicy istnienia organizacyi i kraju i zachowując wszelką ostrożność, powinien był przekonywać ich, że w Polsce byłoby łatwo wywołać ruchawkę. „Nasz naród—miał zapewniać pełnomocnik słowami instrukcyi — zawsze gotów! Byle iskrę rzucić. Gdyby tak Wysoka Porta zechciała, czy najjaśniejszy rząd Wielkiej Brytanii, ręczymy, my, emigracya, że poruszylibyśmy cały kraj“. Następnie zalecała instrukcya napomykać ogólnikowo, że: „Polska posiada niewątpliwą dźwignię, czynnik ważny w łonie narodu spoczywający, który zdoła dzielnie zaważyć na szali wypadków“. Zagadnięty o ten czynnik (którym była, rzecz prosta, konfederacya) miał pełnomocnik zasłonić się tajemnicą i oświadczyć, że dopiero wówczas mógłby zagrać w otwarte karty, gdyby odnośne mocarstwo „dało niewątpliwe gwarancye“ Gwarancyą tą miało być dostawienie przez rząd owego mocarstwa na oznaczone miejsce w kraju—broni dla 100,000 ludzi, a przynajmniej pierwszej raty tego zapasu. Pełnomocnik londyński miał oprócz tego starać się obudzić w duńczykach chęć odzyskania północnego Szlezwiku, a Szwecyi przypomnieć jej prawa do Finlandyi. Osobną wreszcie instrukcyę otrzymali przedstawiciele konfederacyi w Stambule.

Organizacya w kraju rozpadała się na cywilną i wojskową. Do urzędów cywilnych przywiązane były staropolskie nazwy wojewodów, kasztelanów, chorążych, starostów i t. p. Organizacya wojskowa nie doszła do skutku, istniał tylko surogat jej w postaci dziesiątek i setek spiskowych pod komendą dziesiętników i setników.

Wszystko to przeprowadzone zostało z prawdziwie błyskawiczną szybkością, wystawiającą świetne świadectwo zdolnościom konspiracyjnym Koszczyca, ale też wszystko było powierzchowne i docierało tylko do granicy, w której kończyły się gorętsze i zapalniejsze koła, a zaczynały się masy. Konfederacya, która rzutkością i zdolnością wytwarzania łudzących pozorów, przy zupełnym braku rzeczywistej siły, dorównać miała nieraz na małą skalę komitetowi centralnamu z r. 1862, pod tym względem była tylko słabem odbiciem organizacyi przedstyczniowej. To podwójne niedomagania w pieniądzach i w materyale ludzkim zaznacza rada konfederacka w jednym z okólników swych, rozesłanych pełnomocnikom zagranicznym. „Trudność—czytamy tam—którą pokonać można będzie dopiero w chwili działania jawnego, to zebranie potrzebnych funduszów. Wiadomo bowiem, że naród nasz, jak jest skorym do ofiarności, tak z drugiej strony ogół szerszy wskutek rozbudzenia nadziei nie zatrzymuje długo tajemnicy, a niepodobna znowu każdego wezwanego do podatku narodowego zobowiązywać przysięgą“. Nie pobierano więc danin i nie wciągano szerszych warstw do organizacyi, dając jej charakter jakgdyby ram tylko, które dopiero późniejsza jawna działalność miała wypełnić. Jak rozpaczliwie pustą bywała kasa konfederacka, świadczy fakt, iż gdy z końcem r. 1876 wyprawić miano kuriera z memoriałem do Stambułu, na koszta podróży urządzić trzeba było składkę, która dała wszystkiego 80 złr. i z tą chudą sumką ruszyć musiał przedstawiciel konfedera-

cyi w drogę. Było to prawdziwe mierzenie sił na zamiary, jakiego nawet Polska nigdy więcej nie oglądała. Liczono zresztą głównie na pomoc mocarstw zagranicznych, wobec których taż konfederacya postanowiła być hojną do ostatecznych granic. I tak Anglia otrzymać miała po rozbiciu Rosyi wyspy baltyckie i fińskie z Kronsztadem, oraz Krym, w zamian za pomoc, która miała polegać na przewiezieniu własnymi statkami broni na Zmudź i przeprawieniu legionu polskiego pod dowództwem generała Wróblewskiego. Turcyi przypadłby był cały Kaukaz. Co do Austryi konfederacya nie zaliczała jej wcale do mocarstw wrogich, przeciwnie przemyśliwała nad pozyskaniem jej dla swoich planów. Miała wprawdzie Austrya utracić na rzecz powstającej Polski Galicyę, w zamian atoli zyskałaby kompensatę na Rosyi lub na nagrodzonej Kaukazem Turcyi, a nadto dynastyi habsburskiej ofiarować miano tron w Warszawie. Polska, wykrojona z granic Austryi i Rosyi, powiększyć się miała o gubernię chersońską, umożliwiającą jej stworzenie floty na morzu Czarnem.

Z takimi planami i z takim zasobem sił przystąpiono do działania.

DCN *Ant. Chołoniewski.*

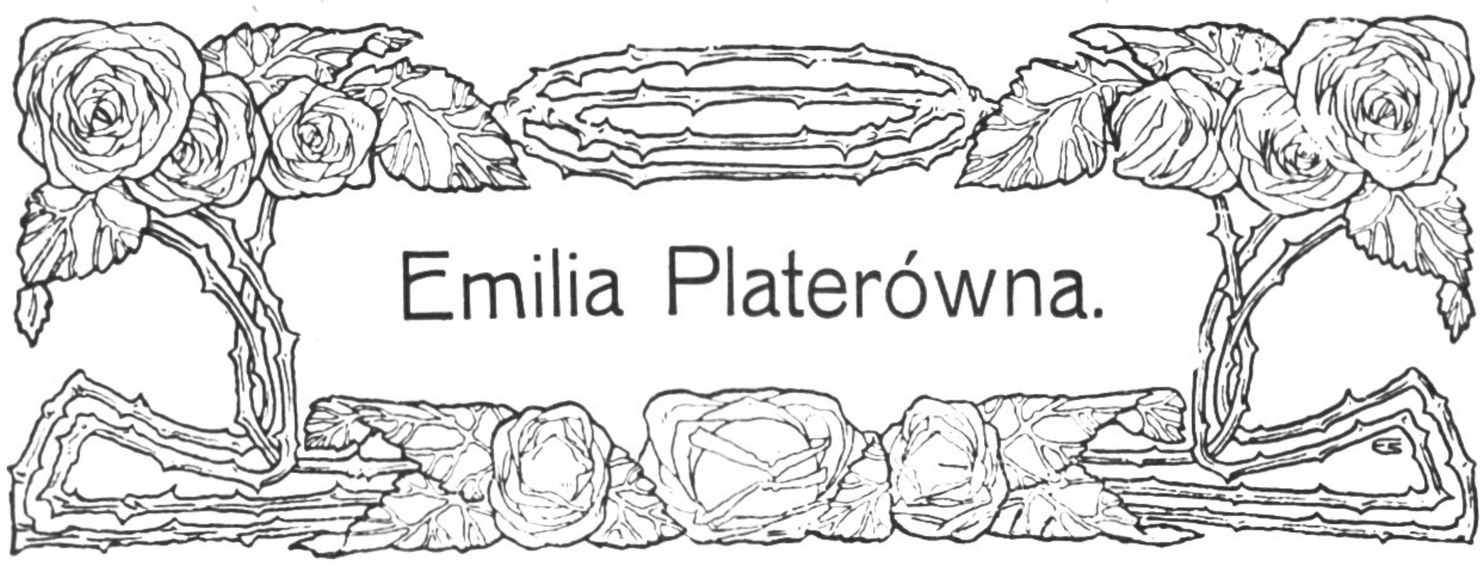

(2) W stuletnią rocznicę narodzin (1806 1831).

Wiara, z kosami, kordelasami i strzelbami· myśliwskiemi, wybierała się iść na armię regularną, mury forteczne zdobywać. Wzniosła, bohaterska, czcigodna naiwność! Bledną przy niej epopeje Napoleońskie, tak samo, jak bledną ich bohaterowie przy erojach Homerowskich. Ostatni byli również bosko-naiwni.

Hufiec Platerówny, mającej za adjutanta młodą Maryę Pruszyńską, zorganizował się ostatecznie w Dangielach. Ruszono stąd na Dynaburg.

2 kwietnia zachodzi powstańcom drogę oddział rosyjskiej piechoty. Platerówna uderza nań, rozbija w puch — niedobitków do sromotnej ucieczki zmusza. Po kilkudniowym, męczącym pochodzie, staje w Jeziorosach. Komendant twierdzy, wysyła przeciw zbliżającym się dwie kompanye piechoty. Mieli napaść powstańców niespodzianie, pobić i wziąć do niewoli. Ale Platerówna posiadała dobrą służbę wywiadowczą. Dzięki jej, zanim jeszcze nieprzyjaciel zbliżył się, obóz stał pod bronią. Role zmieniły się. Rosyanie zamiast napadać i bić, sami zostali napadnięci i pobici. Uciekających w popłochu, gnano po drodze wiodącej do Dynaburga. Powstańcom błysnęła nadzieja, że może tam—wedle starego żołnierskiego wyrażenia – „na karkach wrogów wjadą“. Nie wjechali. Zagrodził im drogę batalion piechoty i artylerya z dwoma działami. Na Homerowe bohaterstwo miejsca już nie było. Achilles, Hektor, Ajaks nie widzieli wymierzonych przeciw sobie armat... Przytem zawiodła pomoc z podchorążych. Komendant twierdzy, wietrząc spisek, wysłał ich do armii Dybicza.

Emilia hr. Platerówna, według starego obrazu (w posiadaniu rodziny).

Piękny, choć fantastyczny gmach, wzniesiony przez Platerównę, w jednej chwii runął. Jej hufiec, pod ogniem działowym, poszedł w rozsypkę. Miasteczka i wioski, w których sztandar narodowy zatknęła, zostały napowrót zajęte przez urzędowych władców. Ona sama musiała bocznemi drogami, w przebraniu, z narażeniem życia, uciekać przed ścigającą ją nawałą...

Niebawem, ocalałą resztę swego hufca połączyła z oddziałem Cezarego Platera, swego brata stryjecznego, i w towarzystwie jednej tylko Pruszyńskiej, udała się „borem, lasem“ w okolice Upity, gdzie stał korpus Załuskiego. Przyjęto ją wybuchem zapału. W dniu 4 maja we wsi Przystowianach została, na własną prośbę, zaliczona do oddziału wolnych strzelców.

Na cześć nowego towarzysza miano wyprawić ucztę żołnierską. Gdy do niej siadano, rozległy się wystrzały. Nieprzyjaciel napadł na obóz znienacka. A siły miał znaczne: dwa pułki jazdy, brygadę piechoty i dwanaście dział dużego kalibru. Na czele wyprawy stali jenerałowie: Sulima i Malinowski.

Pomimo, że losy walki były z góry przesądzone, powstańcy przyjęli ją i po bohatersku stoczyli. Tuż przy obozie wznosiła się góra, lasem zarosła. Na wierzchołku tej góry, wśród drzew, zajęli pozycyę obronną, dla ułanów rosyjskich niedostępną. Kilkakrotnie piechota nieprzyjacielska, znana z nieugiętości, szła na bagnety, chcąc górę wziąć szturmem — odpierano ją zwycięzko. Przez cztery godziny wróg, ze stratami wielkiemi, zdobywać musiał zwolna, cal za calem, pole bitwy—wreszcie bohaterom zbrakło amunicyi. Ustępować zaczęli, szukając w gąszczach za-

Wojciech Kossak. Utarczka Emilii hr. Platerówny z kozakami.

słony przed nieprzyjacielem. Dostrzeżonych rosyanie mordowali bez litości.

Przez cały ciąg walki, Emilia znajdowała się w pierwszym szeregu. Z wyniosłą pogardą śmierci, urągała wrogom, swoim dodawała odwagi. Wreszcie ujrzała się otoczoną trupami. Z całego oddziału trzej tylko żywi przy niej pozostali. Trzeba było ocalić życie, jeśli nie swoje, to choć towarzyszów

Drogi były rozmokłe od deszczu, zasypane gałęźmi. Czyniło to uciążliwym odwrót, ale utrudniało zarazem pogoń. Hrabianka słyszała kilkakrotnie, niemal tuż za plecyma, chrapanie ciężkich koni rosyjskich.

Noc spędziła w domku leśnika; opuściwszy go przed świtem, dotarła wreszcie, po wielu trudach, do oddziału Załuskiego, który rozłożył się obozem na brzegu rzeczki Dubisy. Wkrótce potem, w towarzystwie Maryi Raszanowiczówny, udała się z Parczewskim pod Wilno.

Gdy dowództwo nad oddziałami powstańczymi objął Chłapowski, Platerówna została przezeń mianowana kapitanem, dowodzącym pierwszą kompanią pierwszego pułku litewskiego. Ten pułk, w kilka dni później, otrzymał nazwę: 25-go liniowego, i został wysłany do Kowna.

25 czerwca, bezpośrednio po bitwie pod Wilnem, rosyanie przystąpili pod Kowno. Z powodu nieostrożności pułkownika Kikiernickiego, most na Wilii nie został usunięty i nieprzyjaciel wtargnął po nim do miasta. Zawrzała walka zażarta. Platerównie i jej oddziałowi wyznaczono miejsce na prawem skrzydle — miejsce, pod względem strategicznym jaknajgorsze, gdyż pozbawione wszelkiego punktu oparcia. W chwili najgorętszej, aby uniknąć zagłady, zdobywa się na krok bohatersko rozpaczliwy: rzuca się ze swym oddziałem wprost na kozaków, szablą i pistoletem drogę sobie toruje, i po usłanej trupami nieprzyjacielskimi drodze, wydostaje się na wolność...

Dwór w Justianowie. Pod topolą znajduje się pokój, w którym umarła Emilia hr. Platerówna.

Należał się jej odpoczynek— ale ta bohaterka odpoczynkiem gardziła. W kilka dni później widzimy ją w gorącej rozprawie pod Szawlami, gdzie pułk Giełguda wpadł w zasadzkę. Raport złożony głównodowodzącemu zaznacza, że w tej potyczce „szczególnem męstwem i odwagą odznaczył się kapitan Emilia Plater".

Była to ostatnia jej potyczka.

Zaraz potem wojsko powstańcze rozdzieliło się na trzy części, nad któremi objęli dowództwo: Chłapowski, Rohland i Dembiński. Platerówna przeszła do oddziału Chłapowskiego, licząc najwięcej na jego męztwo i spodziewając się, że z nim przedostanie się do Królestwa—co było stałem jej pragnieniem. Zawiodły ją te nadzieje. Chłapowski, zamiast do Warszawy, skierował swój oddział w stronę Prus. Zaniepokojona, biegnie do jego kwatery i pyta wprost: — Dokąd nas wiedziesz, jenerale? — Dowiedzawszy się prawdy, rzuca ironiczne pożegnanie: — Szczęśliwej drogi. Jedź sam. Co do mnie, dopóki iskrę życia czuję w piersiach, bić się będę za ojczyznę!..

Tegoż dnia opuszcza małodusznego wodza i w towarzystwie Cezarego Platera oraz wiernej towarzyszki Raszanowiczówny, bocznemi drogami, w przebraniu

wieśniaczem, udaje się ku granicy Królestwa.

Przez dziesięć dni trójka bohaterska, o chłodzie i głodzie, odbywała męczącą drogę, krzepiąc się myślą. że przed nią Warszawa, a w tej Warszawie rząd narodowy, armia, dyktator...

Nocowano po lasach, żywiono się chlebem suchym — w każdym głośniejszym szumie liści dosłuchywano się głosów zbliżającej się pogoni. Z ust Emilii ani razu nie wybiegła skarga. Nagle, jedenastego dnia drogi—padła zemdlona. Brat i przyjaciółka wzięli ją na ręce, do najbliższej chaty zanieśli. Z trudem otrzeźwiona, zaledwie wróciła do przytomności, rzekła:—Życie moje kończy się... Zostawcie mnie tu—sami idźcie służyć ojczyźnie, której możecie być jeszcze pożyteczni...

Miała gwałtowną gorączkę; kroku postąpić nie mogła; stopy jej były pokryte ranami.

Cezary Plater zapytał o nazwę wsi, w której się znaleźli. Był to Ustianów, należący do Abłamowicza. Udał się do dworu, wyjaśnił gospodarzowi w tajemnicy, kim jest jego chora krewna i prosił o zaopiekowanie się nią. Państwo Abłamowiczowie zabrali Emilię pod swój dach i serdeczną troskliwością otoczyli. Raszanowiczówna pozostała przy chorej — Cezary Plater udał się do Warszawy.

Pomoc lekarska, czuła opieka, spokój zacisznej, oddalonej od zgiełku wojennego wioski, zdziałały swoje: Platerówna zaczęła przychodzić do zdrowia. I byłaby żyła długo jeszcze dla szczęścia rodziny, dla dobra narodu, gdyby nagle na cichą wioskę nie spadła piorunująca a niespodziana wieść o — szturmie i kapitulacyi Warszawy.

Wieść była dla bohaterki ciosem śmiertelnym.

Ugodzona nim w samo serce, męczyła się jeszcze przez kilkanaście tygodni, ale to już było tylko powolne konanie.

Zakończyła swój młody, piękny, czci powszechnej godny żywot 23 grudnia 1831 r,—opatrzona Świętymi Sakramentami i ściskając rękojeść szabli dłonią stygnącą...

„Emilia Platerówna — mówi jej towarzysz broni i historyk — nie mogła i nie powinna była przeżyć swej ojczyzny“.

Grób Emilii hr. Platerówny.

W małej książeczce, poświęconej „Polkom, które się szczególniej zasłużyły Ojczyźnie w powstaniu listopadowem“, autorka (Felicya Boberska), mówiąc o Platerównie i jej towarzyszkach, dodaje: „Nie uważamy ich za wzory do naśladowania, ale szczere ich a bezgraniczne poświęcenie zasługuje na uznanie“.

Mądre słowa... Pamiętać jednak trzeba, że historya przedstawiała zawsze za najokropniejsze takie stany wojenne, w których „dzieci i niewiasty chwytać za oręż musiały“...

Wiktor Gomulicki.

Członkowie Tow. dzienniarzy polskich we Lwowie.

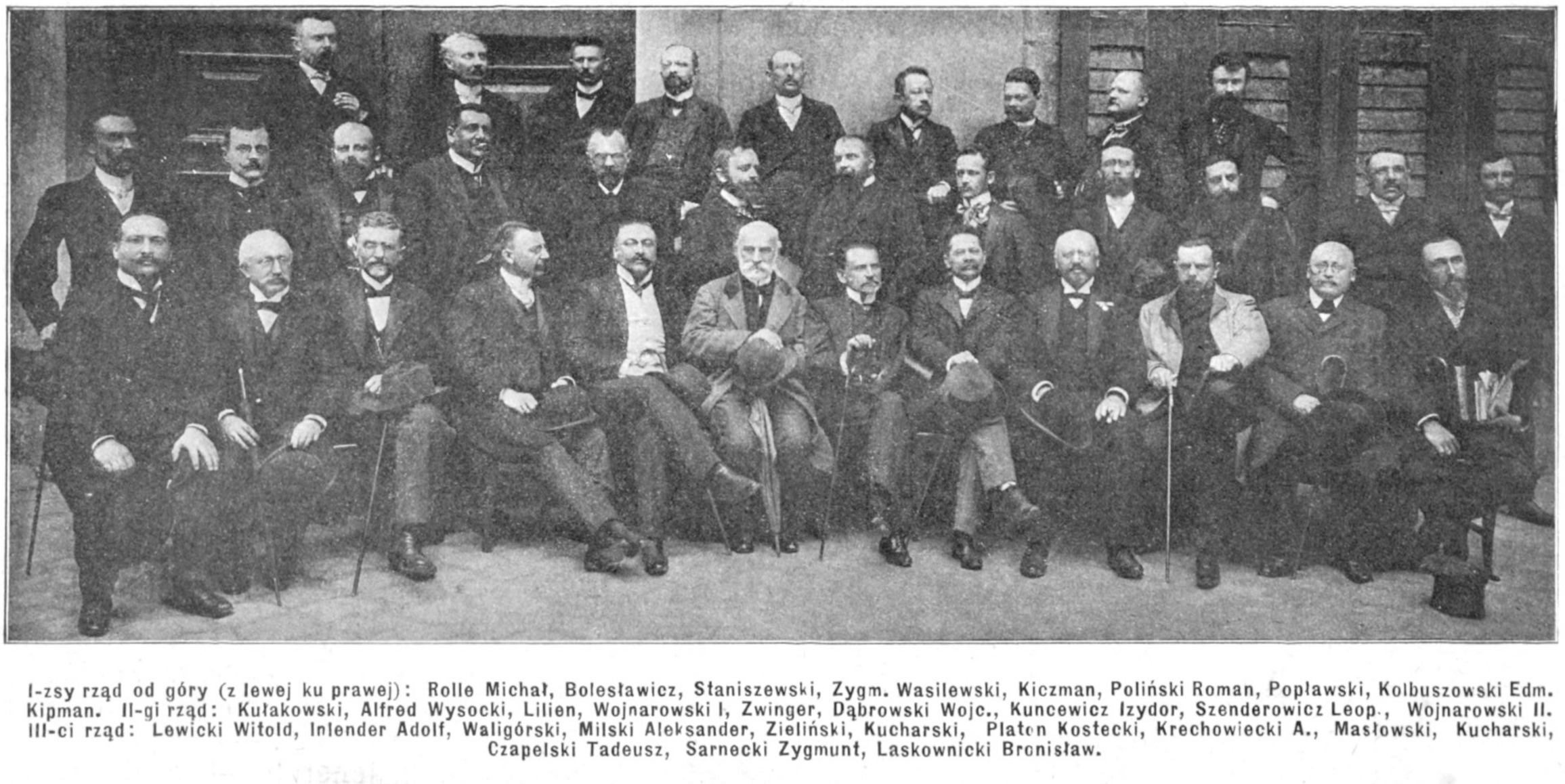

I-zsy rząd od góry (z lewej ku prawej): Rolle Michał, Bolesławicz, Staniszewski, Zygm. Wasilewski, Kiczman, Poliński Roman, Popławski, Kolbuszowski Edm. Kipman. II-gi rząd: Kułakowski, Alfred Wysocki, Lilien, Wojnarowski I, Zwinger, Dąbrowski Wojc., Kuncewicz Izydor, Szenderowicz Leop., Wojnarowski II. III-ci rząd: Lewicki Witold, Inlender Adolf, Waligórski, Milski Aleksander, Zieliński, Kucharski, Platen Kostecki, Krechowiecki A., Masłowski, Kucharski, Czapelski Tadeusz, Sarnecki Zygmunt, Laskownicki Bronisław.

Towarzystwo dziennikarzy polskich.

Światek dziennikarski składa się w przeważnej części z „indywidualistów“ do zrzeszania się nie bardzo skorych. Przytem polemiczny charakter polskiego szczególnie dziennikarstwa, wytwarza osobiste antagonizmy i utrudnia współdziałanie, nawet po za pracą czysto zawodową. Ale z drugiej strony niepewność bytu i brak wszelkiego zabezpieczenia na starość muszą wcześniej czy poźniej przezwyciężyć i indywidualizm i polityczne antagonizmy i skierować pracowników pióra na drogę samopomocy. W Galicyi szczególnie zachęcał do tego przykład wiedeńskiej „Concordii“, najbogatszego i najlepiej zorganizowanego stowarzyszenia dziennikarskiego na świecie. „Concordia“ złożona z kilku stowarzyszeń rozporządza wielomilionowym majątkiem i opiekuje się swoimi członkami w każdym kierunku, daje utrzymanie podczas choroby, emeryturę, pensye wdowie i sierocińskie, doraźne zapomogi, pożyczki itd. Blizki przykład podziałał na Lwów i Kraków i stworzył instytucyę, która po kilkunastu latach istnienia, jest już po Con-

Zarząd Tow dziennikarzy polskich we Lwowie.

Adam Krechowiecki.

Kazimierz Skrzyński.

Stanisław Pepłowski.

Karol Kucharski.

Liberat Zajączkowski.

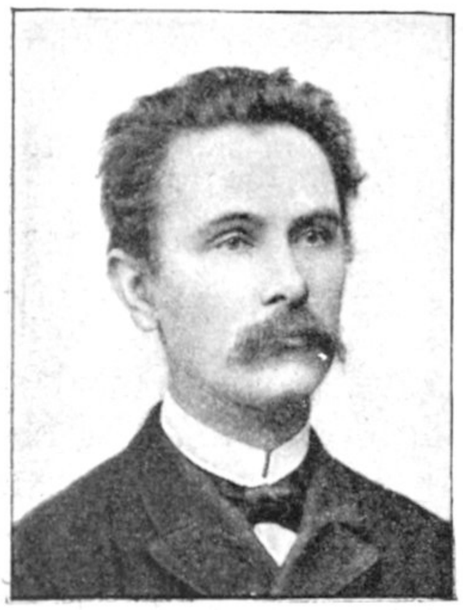

Teofil Merunowicz.

Bronisław Laskownicki.

Aleksander Milski.

cordii najlepiej zorganizowanem towarzystwem dziennikarskiem w Austryi, o wiele silniejszem od obu towarzystw praskich i od towarzystwa węgierskiego.

„Towarzystwo dziennikarzy polskich“ zawdzięcza swoje założenie dziennikarzom podówczas najmłodszym. Starsi dziennikarze ze szkoły Lama, Rewakowicza, Stebelskiego i in. współczesnych, owa cała cyganerya literacka lwowska, nie troszczyła się nigdy o byt na starość, jak nie troszczyła się nawet o najbliższe jutro. Przyzwyczajeni do życia z dnia na dzień, starsi dziennikarze szczycili się nawet do pewnego stopnia tem cygańskiem życiem, uważając je za gwarancyę swej niezawisłości. Dopiero młodsza generacya wniosła w dziennikarstwo pierwiastek, że tak powiem, „burżuazyjny“, dążność do zapewnionego bytu i uregulowanych materyalnych stosunków.

Około roku 1892 w restaurcyi hotelu Warszawskiego we Lwowie, zwanej krótko: „w Warszawie“, zbierało się grono młodych dziennikarzy, z których niektórzy dziś dobrze i zaszczytnie znani są w prasie warszawskiej. Między innymi stałymi gośćmi bywali tam: dr. Błeszyński, Adam Dobrowolski, Gabryel Górski, Wojciech Dąbrowski, Edmund Kolbuszewski, Bronisław Laskowiecki, Ignacy Nikorowicz, Antoni Popławski, Roman Paliński i inni. W tym to gronie powstała myśl założenia „Towarzystwa dziennikarzy polskich“ i wypracowany został statut, który podpisali: sędziwy Flatau, Kostecki, Laskownicki, Wacław Masłowski, Milski i Rosowski. Po zatwierdzeniu statutu w roku 1893 Towarzystwo ukonstytuowało się, wybierając pierwszym prezesem posła Teofila Merunowicza, wiceprezesem ś. p. Adama Asnyka, wówczas redaktora N. Reformy, sekretarzem Laskownickiego, a skarbnikiem Wacława Masłowskiego. Dr. Adam Bieńkowski podjął się pracy około zmiany statutów. Pierwsze kroki nowego stowarzyszenia były bardzo trudne, szczególnie wobec opieszałości członków w płaceniu składek. Jeśli mimo to Towarzystwo doszło do poważnego majątku, to główną zasługę w tem mają skarbnicy, a przedewszystkiem Karol Kucharski i Wacław Masłowski, którzy, zastępując kasyerów osobiście i niezmordowanie zbierali składki, aż wreszcie przyzwyczaili już członków nowych do punktualności. Kiedy naprzykład Kucharski w pierwszych dniach miesiąca pojawił się w redakcyi, każdy wiedział, że niczem od zapłacenia składki uwolnić się nie zdoła. Przytem w wydziale czuwał on nad całością zebranych funduszów i przemocą prawie przeszkadzał każdej uchwale, któraby narazić mogła Towarzystwo na wydatki, zanim byt jego będzie ugruntowany. W ciągu dalszych lat prezesami Towarzystwa i wiceprezesami byli Kazimierz Skrzyński, Michał Chyliński, wreszcie (dziś), Adam Krechowiecki prezes i Karol Kucharski, wiceprezes. Wielkie zasługi około rozwoju Towarzystwa, obok wymienionych, położyli Bronisław Laskownicki, Aleksander Milski dzisiejszy skarbnik, który cały swój czas poświęca Towarzystwu, dr. Adam Bieńkowski, ś. p. Pepłowski, dr. Ostaszewski-Barański, Edmund Kolbuszewski, Wojciech Dąbrowski i inni.

Dziś, po 12 latach istnienia, Towarzystwo posiada majątek ¼ miliona koron, udziela członkom po 25 latach należenia do związku lub w razie wcześniejszej niezdolności do pracy, emeryturę w kwocie 1500 koron rocznie, daje pensye wdowie do 960 koron (obecnie ośmiu wdowom) pensye sierocińskie, zapomogi w razie choroby, pożyczki doraźne itd. Majątek Towarzystwa wzrasta z każdym rokiem, głównie przez instytucye członków wspierających. Wielką sasługę ma Towarzystwo przez godną reprezentacyę dziennikarstwa polskiego na zjazdach czy to międzynarodowych czy słowiańskich. W tym kierunku największe zasługi położył były wiceprezes Towarzystwa ś. p. Skrzyński. Kiedy inne związki wysyłają na takie zjazdy byle kogo, polskie Towarzystwo dobiera także bardzo starannie swoją reprezentacyę i odgrywa też na tych zjazdach pierwszorzędną rolę. Na Kongresie n. p. w Rzymie Polacy pod wodzą ś. p. Skrzyńskiego, tworzyli faktycznie najpoważniejszą grupę narodową, na którą powszechną zwracano uwagę. Były wiceprezes Towarzystwa Michał Chyliński jest dotąd prezesem zjazdów dziennikarzy słowiańskich.

W roku 1903 obchodziło Towarzystwo uroczyście pierwsze dziesięciolecie swego istnienia wśród sympatyi całego społeczeństwa polskiego. Fotografia dokonana podczas tego zjazdu obejmuje trzydziestu i kilku członkow, zgrupowanych około nestora polskich dziennikarzy we Lwowie Platona Kosteckiego; po prawej stronie jego miejsce zajmuje prezes Towarzystwa Adam Krechowiecki.

A. I.

PODRÓŻE i PODRÓŻNI.

Najgłębszych wrażeń doznaje się najczęściej w podróży, którą się odbywa z konieczności, a nie dla wrażeń.

Czasem ważną jest siła wrażeń, nieraz ważniejszą jest ich ilość, ale zawsze i wszędzie najważniejszą jest ich jakość.

Jan Münzer.

Gabryela Zapolska.

Zaszumi Las

Na ulicy Buffault Leon zatrzymał się przy bramie kantoru.

Zadzwonił i Jules, milcząc, przyczepił mu do guzika od palta swoją latarnię i rzuciwszy okiem na obie strony zupełnie pustej ulicy, kosz swój z pleców zsunął i przed Leonem postawił.

W tej chwili otworzyła się furtka w bramie i równocześnie zbliżył się Robert.

— Bonne chance! — wyrzekli obaj bracia, kłaniając się Leonowi.

On zaczął gorąco ich ręce ściskać.

— Dziękuję wam—dziękuję!

— Niema za co—odparł znów Robert—niema za co...

A Jules dodał:

— Byle tylko nasza mama jakich przykrości nie miała—to my jesteśmy bardzo kontenci, żeśmy wam mogli oddać przysługę!

I raz jeszcze ukłoniwszy się, oddalili się teraz już razem, z minami zwycięzców.

Leon zebrał wszystkie siły i przeniósł kosz do sieni. Przechodząc mimo szybki, poza którą zaczerniła się sylwetka konsierżki, wyrzekł z całą swobodą, na jaką się mógł tylko zdobyć w tej chwili:

— To ja, pani Martin — idę do kantoru — zapomnieliśmy bardzo ważnych papierów — muszę je wysłać pierwszą pocztą.

Konsierżka zamknęła szybkę. Leon wziął z kąta ów kosz i zaczął go taszczyć pod szopę, której oszklone okna dziwnie migotały w nocnej ciemni.

Wreszcie otworzywszy drzwi — zdołał się dostać do wnętrza:

Wtedy upadł prawie na klęczki i głowę na koszu położył. Papiery okryte były jakąś szmatą, aby miały pozór gałganów. Leon szmatę odgarnął i ręce w tę masę zanurzył. Były to przeważnie listy, manuskrypta, wycinki z dzienników z dopiskami, karteczki oderwane, zapisane adresami—koperty z markami poznaczonymi pocztowymi stemplami. Wszystkie trzy rozszarpane kawały Polski były tam reprezentowane.

I to było wszystko —wszystko, co było trzeba, aby potępić całe rodziny, rozerwać ich istnienie, okryć żałobą może pół kraju! Cały łańcuch dokumentów, z którego inteligentne i przebiegłe sfory płatnych rządowych służalców potrafią zrobić wyroki potępienia, banicyi — zesłania, więzienia czasem na resztę życia!

I Leonowi mdlały ręce, gdy zapuszczał je coraz głębiej w otchłanie tych „dokumentów“, które milcząc, oskarżały, dowodziły, zdradzały gorzej, niż najczujniejsze i najbardziej płatne szpiegi.

Ogarnął go straszny, nieopisany lęk. Dokoła było prawie ciemno—tylko latarenka, uczepiona u guzika jego palta, rzucała słaby ukośny promień na wierzch kosza i oświetlała początek owego stosu, wydobywając na jaw niektóre listy i papiery. Leon rozszerzonemi źrenicami wpatrywał się w tę biel, pociętą plamkami marek i pieczęci i nie śmiał ruszyć się, tak wielkimi wydały mu się te groźne świadki przestępstw, za które ludzie drugich ludzi wiążą i jak dzikie zwierzęta za kraty wtrącają!

A były to przecież lepsze cząstki dusz, które miały wyższe i promienniejsze ideały, jak zwykłą miarę życiowej mniej lub więcej rozkosznej wegetacyi. Były to światełka tlące w duszach studentów, w sercach młodych dziewcząt — były to piękne, gorące, wspaniałe myśli głów, nie chcących ugiąć się pod jarzmem niewoli—pragnienia serc oburzonych niesprawiedliwością ekonomicznych stosunków — pragnących chleba i pracy dla wszystkich—swobody dla kraju!

I zamiast jaśnieć jak kryształ, te myśli ludzkie kryć się musiały—bo one, które przynosiły zaszczyt duszom, które je zrodziły—były w obecnym ustroju raną, którą się zakrywa, grozą, na którą zapada więzienna krata, gorączką, którą chłodzi wilgoć cytadeli, występkiem, za który oślepią śniegi Sybiru!

. . . . . .

Leon czuł, iż winien coś uczynić z tą masą papierów — spalić je... schować wreszcie tak, aby nikt nie ośmielił się znaleść ich w tem ukryciu.

Nie chciał pozbywać się odrazu tej „historyi partyi“, która była w tych papierach zawarta. Chciał ją poznać—czuł, że musi to zrobić. Długą chwilę bił się z myślami, wreszcie podszedł do

Lingner. „Brzask“.

kąta szopy—odsunął duży szlaban, za którym robotnicy składali przedmioty, mające być opakowane i znalazłszy szuflę do zesypywania trocin w paki łamliwych przedmiotów—zaczął kopać ziemię, dopomagając sobie rękami, paznokciami, gdy szuflla w ziemię wchodzić nie chciała.

Szopa bowiem nie miała podłogi. Postawiono ją poprostu na ziemi, na dziedzińcu, powyrywawszy naprzód kamienie, bo paki na nich równo stać nie mogły. Zrównano potem ziemię, która cała była zarzucona dość grubą warstwą wiorów, trocin, waty i kawałków papieru.

Leon kopał ów dół z całą odwagą, ale chwilami zatrzymywał się, bo brakło mu już sił i ręce mu mdlały. Lękał się, aby świt nie nadszedł i konsierżce nie przyszła ochota zajrzeć. co on też robi w kantorze. Z trwogą spoglądał w szyby, poza któremi jeszcze była ciągle noc czarna i wilgotna.

Wreszcie dół był dość duży, i Leon wsypał w niego wszystkie papiery, wyścieliwszy wprzód dno i ściany gazetami i kawałkami waty. Wreszcie pokrył to wszystko szmatą i przysypał ziemią. Ubił ziemię i ugniotł nogami—pokrył znów warstwą gnijących wiórów i trocin.

I gdy przysunął do ściany szlaban—oparł się o niego i zaczął teraz aż jęczeć ze zmęczenia.

W kącie w latarence świeca dogorywała.

Z rąk jego pokrwawionych i czarnych od ziemi wypadła szufla—oczy z wyrazem osłupienia utkwił w ziemię. Nie mógł przemówić ani słowa—zrobić ani jednego ruchu.

Odpoczywał.

. . . . . .

Mówią chłopi—„cztery deski i cały świat“. Na niskich, drewnianych marach, nie pokrytych nawet całunem, stoi drewniana, trumna, cały świnat, a w niej—trup.

Białe prześcieradło, zwyczajem francuskim, pokrywa całe ciało aż pod brodę. Na prześcieradle tu i owdzie rzucony jakiś kwiat ubogi i napół w tem zetknięciu się z trupem człowieka—uwiędły.

Niema świec, niema zieleni, niema krepy. Nic—do czego oko nasze przywykło—całej tej dekoracyjnej części, w którą w naszym kraju stroi się śmierć i odrywa od trupa oczy żyjących.

W tej nagiej poczekalni, zimnej, białej, otwartej na rozcież, widnej jak szpitalna sala—tragiczniej, groźniej zaznacza się majestat śmierci, niż wśród czarnych draperyj, srebrnych galonów i setek płonących świec.

Proch jesteś i w proch się obrócisz!

Ledwo nędzne okrycie na zesztywniałe ciało i kilka desek, które razem z tem ciałem w proch się rozpadną.

Lecz, kto raz widział takiego trupa, który wracał do ziemi prawie nagi—ubogi, pozostawiający za sobą daleko wszystko, co mu cywilizacya za życia narzuciła, nie zapomni go już nigdy i wiecznie będzie miał w myśli.

— Proch jesteś...

Leon stał, jak przykuty u wejścia poczekalni i wprost, w twarz Grzegorzewskiego patrzył.

Patrzył i poznać prawie nie mógł w tej masce zielonej, w tych oczach szklanych, strasznych, w tych ustach otwartych—czarujące rysy żywego, jego oczy czarne, pełne blasku, usta, które zdawały się zawsze płonąć, jak kwiat granatu.

I nie był to spokojny sen—o nie!

Grzegorzewski nie „usnął“, jak się mówi popularnie.—Grzegorzewski zdawał się być obalony w tę trumnę, związany—przykuty do śmiertelnego posłania, i chwilowo zapadłszy w niemoc, skarżył się wyrazem twarzy, rozpaczy pełnym jękiem, który uleciał przed chwilą z ust w pół otwartych na swą śmierć przedwczesną, nie dozwalającą mu iść dalej, płynąć w górę i dzwigać ze sobą słabszych i wątpiących.

Dziedziniec szpitalny tymczasem napełniał się ludźmi, którzy grupowali się według barw i przekonań, zupełnie jak w sali geograficznej na jakiejkolwiek uroczystości narodowej.

I Leon widział, jak grupy ludzi nienawidzące Grzegorzewskiego, zatrzymywały się na progu poczekalni i z minami hypokrytów, odziani ciemno, stali chwilę i patrzyli ze źle ukrytą ciekawością w twarz zmarłego. Niektórzy przynosili nawet kwiaty, wieńce i składali je u stóp trumny tak, jak za życia składali na cześć Grzegorzewskiego insynuacye i obelgi. Kilkakrotnie Leon poruszył się, chcąc odepchnąć te kwiaty, lecz Kręcki wstrzymał go lekkim giestem i kilkoma słowami, wyszeptanemi uspakajającym tonem.

Opodal pod ścianą, kryjąc się przed wzrokiem ludzkim, stała Mazia i suchemi, zbolałemi oczami zdawała się wpijać w twarz zmarłego, jakby pragnęła zabrać obraz tej drogiej, martwej twarzy, w źrenice swoje na resztę życia. Postarzała o jakie dziesięć lat, skurczyła się, zgarbiła. Rumieńce znikły. Twarzyczka wyciągnęła się i oczy przygasły.

Nagle zaszumiało u wejścia. W towarzystwie Jaskulskiej weszła Wilhelminka, odziana czarno, prawie w grubej żałobie. Suknię miała nową, doskonale skrajaną, obcisłą na biodrach i szeroko rozkładającą się na dole. Lekka narzutka obrzucona była falbanami z krepy. Na głowie nieduży kapelusz, z kokardą krepową, w formie alzackiej kokardy.

Poza nią Leon dosłyszał wyraźnie szmer kilku głosów:

— To... narzeczona!

Więc ona była istotnie narzeczoną tego człowieka? On chciał swe życie, pełne gorączkowych marzeń, związać z istnieniem tej dziewczyny?

Jakaż to wielka, niepospolita musiała być dusza tej kobiety!

Wilhelminka podeszła do trumny i na piersiach zmarłego złożyła duży bukiet fiołków.

Leon zapomniał o fiołkach, rozsypanych przez tę kobietę u niego na pościeli i cały dał się porwać artystycznemu wrażeniu.

Ta smukła, królewska postać kobieca, cała prawie naga, w swych czarnych draperyach, pochylona nad tą prostą, szpitalną trumną i składająca ciemne, aksamitne kwiaty na piersi trupa...

Piękność tego kontrastu i giestu Wilhelminki odczuli wszyscy zebrani. Cały interes, całe zajęcie się zgromadzonych zwróciło się teraz ku nowo przybyłej. Trup Grzegorzewskiego schodził na drugi plan. Szeptami pokazywano sobie piękną studentkę, która stała teraz wyprostowana obok trumny, jak wspaniały anioł śmierci, cały czarny, z marmurowo-białą, piękną w swym smutku twarzą.

I Leon zapatrzył się w nią, jak w tęczę, oderwawszy myśl od trumny.

A przecież ciężył nad nim straszny dla niego obowiązek.

Rano—w kantorze—spytał go nagle Kręcki:

— Któż będzie mówił nad grobem?

— Kto będzie mówił?

— No tak. Przecież ktoś z waszej partyi musi mieć mowę. Cóżby to był za pogrzeb bez mowy. Nie wiem, kto jest tam u was

teraz „najstarszy“. Ten powinien przemówić.

Najstarszy! a więc... on, Leon, nikt inny. Nie może, nie powinien ustąpić miejsca innemu, młodszemu od siebie w hierarchii partyjnej. Lecz czyż on potrafi mówić wobec tylu osób?

Cofnął się do kąta i zaczął obmyślać i układać mowę. Powoli dobył ołówka i kreślił cisnące się zdania na ćwiartkach papieru. Był nadzwyczaj podniecony i sam zdumiał się nad łatwością, z jaką całe snopy słów biegły mu do mózgu i łączyły się w całość.

Zaczynając układać mowę, sądził, że zdoła zaledwie skleić kilka wierszy—teraz zaś snuł mu się cały poemat, który zdawał się oddawna drzemać na dnie jego duszy.

Odczytał kilkakrotnie mowę i uczuł się z niej dumny i zadowolony. Poszedł z nią do opustoszałej w tej chwili szopy i oparłszy się o szlaban, próbował giestów i nawet starał się przybrać odpowiednią pozę.

— W tej trumnie leży część przyszłości naszego kraju! — mówił i uderzał lekko dłonią o wierzch szlabanu.

W tej chwili przypomniał sobie, że tam pod tym szlabanem jest rzeczywiście taka mogiła, wykopana przez niego samego i pełna myśli tych, którzy także są częścią przyszłości kraju.

Odsunął się teraz i czytał swą mowę ciszej, ale usiłując znaleść odpowiednie intonacye.

Gdy Kręcki przypomniał mu, że czas jest już iść na pogrzeb, schował kartki do kieszeni, jakkolwiek całość mowy wybornie objął pamięcią.

Koło trumny zrobił się nagle ruch i ciężki stukot butów karawaniarzy, rozległ się dokoła. Wieko zasłonięto i nikt nie zbliżył się, aby zwyczajem francuskim złożyć pocałunek na czole zmarłego.

I nagle do trumny zbliżyła się Mazia. Szybko z pod żakiecika dobyła kilkanaście broszurek w purpurowych okładkach i jak rozkwitłemi różami, obsypała niemi śmiertelny całun, kryjący zwłoki zmarłego. Jedna z tych broszurek padła na bukiet fiołków, pokryła go,—i teraz Grzegorzewski miał na piersiach krwawą ranę swej pracy i unosił ją do grobu, jak swój skarb i ziemski dorobek.

DCN

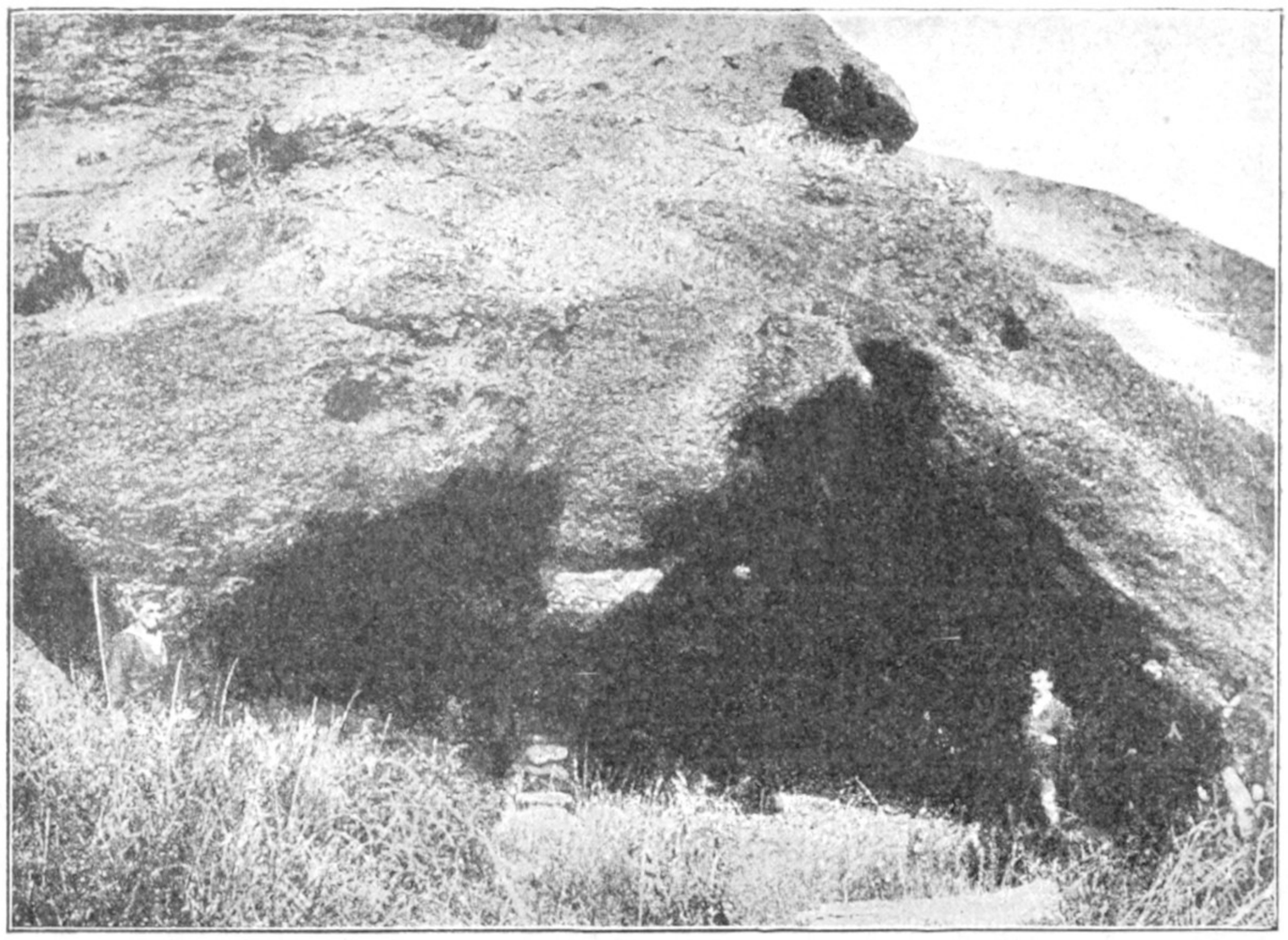

Jaskinia Robinsona Kruzoe na wyspie Juan Fernandez.

Szlakami kataklizmów w przyrodzie.

WYSPA ROBINSONA KRUZOE.

Podczas ostatniego trzęsienia ziemi w Chili, bodaj że najgroźniejszego z tych, jakie w tym roku kulę ziemską nawiedziły, pochłonięta została przez burzliwe wody oceanu wyspa, nosząca w geografii nazwę *Juan Fernandez*. Niewielki kawał lądu, który wulkaniczna siła dźwignęła z odmętów morskich, zyskał rozgłos nie tyle ze względu na przyrodzoną piękność swoją, cudowny klimat wiecznej wiosny, znaczenie handlowe lub strategiczne, ile że był on prototypem tej wyspy, gdzie to bujna wyobraźnia angielskiego pisarza Daniela Defoe'go umieściła swego bohatera, Robinsona Kruzoe. Talent literata i poety uczynił wyspę, odkrytą w r. 1563 przez hiszpana Juana Fernandeza, słynną.

Próbowali ją początkowo skolonizować hiszpanie, zawadzali o nią Holendrzy, utworzyli sobie na niej gniazdo korsarze. Opisał ją w r. 1698 angielski podróżnik Wiliam Dampier, który na owej wyspie całkiem bezludnej znalazł Indyanina, porzuconego na pastwę losu przez korsarza Robina. Ów to Indyanin samotnik dostarczył Defoë'mu wątku do stworzenia prześlicznej postaci Piętaszka, towarzysza Robinsona Kruzoe.

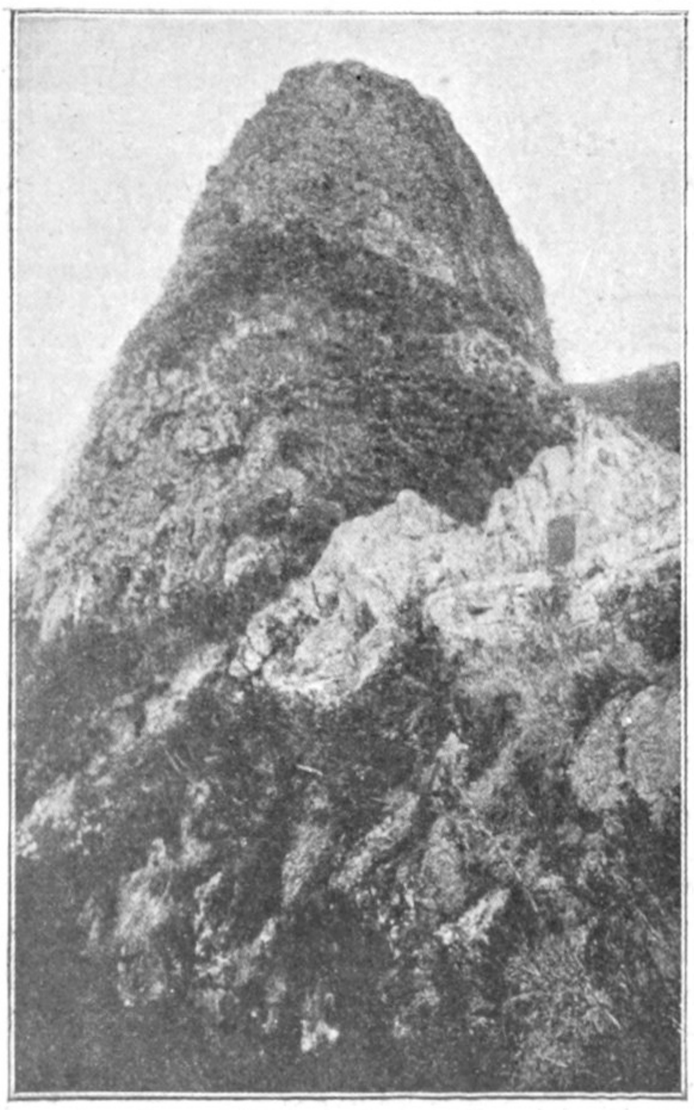

Szczyt góry na wyspie Juan Fernandez.

Sternik Aleksander Selkirk z Largo w Szkocyi, doświadczywszy mnóstwa przeróżnych przygód żeglarskich, pozostawiony przez załogę okrętu „Cinque Porto“ na wyspie Juan Fernandez, przebywał tu w najzupełniejszem odosobnieniu przez cztery lata przeszło (1704—1709) upatrując z górskiego szczytu okrętu, któryby go wrócił światu.

Jakoż ów okręt się znalazł, a był nim statek korsarski „Duke“. Selkirk opuścił wyspę i umarł w r. 1719, jako oficer marynarki angielskiej. Przygody jego stały się głośne, opowiadano o nich, opisywano je. Ten to właśnie Selkirk był onym Robinsonem, którego fantazya Defoë'go uczyniła sławnym. Od chwili też wydania powieści wyspę Juan Fernandez zaczęto nazywać wyspą Robinsona Kruzoe. W roku 1868 oficerowie marynarki amerykańskiej na owej skale, z której przez cztery lata Selkirk błądził wzrokiem po wód przestrzeni w pogoni za upragnionym okrętem, wmurowali tablicę pamiątkową.

W XVII wieku hiszpanie zwrócili na wyspę żywszą uwagę swoją... i zbudowali na niej więzienie dla przestępców, które dopiero w 1837 r. zostało zwinięte. Później osiedliło się tutaj parę rodzin rybackich. Trzydzieści lat temu rząd Chilijski zaprągnął ten naprawdę uroczy zakątek ziemi wydzierżawić. Znalazł się amator w osobie Szwajcara v. Rodta, który postanowił się zabawić w Robinsona Kruzoe. Początkowo zachwycony był nabytkiem swoim, opisywał go jako raj ziemski, ale wkrótce, znudzony samotnością, wyspę opuścił. Niektórzy twierdzili, jakoby ten v. Rodt był w rzeczywistości owym przepadłym bez wieści awanturniczym arcyksięciem austryackim Janem Salvatorem, który wywędrował w świat pod przybranem nazwiskiem Jana Ortha.

am.

POLA ESPERANTISTO

Esperantaj sciigoj por pollingvanoj.

Julio 1906. | Redakcio kaj Administracio: Lvovo (Akademicka 26). | 1. Jaro No. 1.

Esperanto w Galicyi.

Od kilku miesięcy krzewi się w Galicyi język „doktora Esperanto“, ostatni w szeregu sztucznych języków, wynaleziony przez polaka i przyjęty przez miliony już osob na obu półkulach, o czem niedawno dopiero, nie bez szczerego zdumienia, dowiedziano się w Polsce. Lwów pierwszy w Galicyi, wierny swojej opinii postępowego miasta, stanął w szeregu zwolenników nowego, międzynarodowego języka. Z datą 1 lipca 1906 r. ukazał się tutaj wstępny zeszyt pierwszego na ziemiach polskich pisma periodycznego w języku esperanckim i polskim p. t.: „Pola Esperantisto“. Esperantyści galicyjscy tworzą już, nieliczny na razie, lecz zorganizowany zastęp, z zapałem propagujący ideę, na której dnie, niezależnie od czysto praktycznych korzyści, kryje się niezawodnie i szczypta marzenia o zbliżeniu powszechnego braterstwa ludzi, dziś bardziej, niż kiedykolwiek gubiącego się w niedostrzegalnej dla oka perspektywie.

I ten „początek“, jak tyle innych, nie należał do łatwych. Przed trzema laty profesor uniw. lwowskiego dr. Dybowski probował pierwszy zachęcić szersze koła do przyswojenia sobie języka międzynarodowego d-ra Zamenhofa. W czerwcu 1903 roku wygłosił w tym przedmiocie odczyt na posiedzeniu naukowem Tow. przyrodników polskich im. Kopernika i rozdał wydaną przez siebie broszurę prof. Couturat'a, wyjaśniającą znaczenie „esperanta“. W jesieni tegoż roku poruszył tę samą sprawę w lwowskiem Towarzystwie filologicznem. Filologowie lwowscy, z taką miłością pielęgnujący studya nad martwymi językami klasycznymi, nie potrafili zapalić się do nowej, pięknej i pożytecznej myśli. Bronił jej jeden tylko znakomity uczony ś. p. prof. Kalina. Referent wydał sąd nieprzychylny, ogół członków stanął po jego stronie i sprawa została na razie pogrzebaną. Niezrażony prof. Dybowski zwrócił się do młodzieży akademickiej w nadziei, że tu propaganda pójdzie łatwiej. Nie poszła jednak łatwiej; apel sędziwego uczonego znowu nie odniósł skutku.

Dopiero rok bieżący przyniósł korzystną zmianę.

Akcyę rozpoczął sekretarz obecny Towarzystwa esperantystów we Lwowie („Societo Esperanto en Leopold) p. Witold Skalski. Zgromadziwszy nieliczne grono osób, po krótkim odczycie, urządził dla nich kilkogodzinny wykład. Obudziło się pewne zainteresowanie dla esperanta. Ogłoszono pierwszy kurs publiczny dla nauki nowego języka, na który uczęszczało już około 160 osób z różnych sfer i zawodów. Kurs prowadził p. St. Łazica, obecny redaktor „Pola Esperantisto“. W kwietniu powstało, dzięki inicyatywie pp. Skalskiego i inż. Libańskiego, stowarzyszenie, które mogło już zdobyć się na własny lokal (ul. Ossolińskich 13). Dotychczas zapisało się do niego 170 członków, a wśród nich nie brak i pań, gorących zwolenniczek esperanta. Nakoniec powstało pismo (kwartalne), widoczny znak łączności esperantystów w całym kraju.

Zwolna bowiem rozszerza się nowy język i poza Lwowem. Grupy i stowarzyszenia powstały w Krakowie (ul. Stolarska 15), w Tarnopolu, w Nowym Sączu, a tworzą się w innych miastach.

Nowozałożony organ („Pola Esperantisto“) budzi zainteresowanie, jako nieznane dotąd zjawisko w prasie polskiej. Wydawany jest w dwóch językach: polskim i esperanckim, jak wiele podobnych pism za granicą. Pierwszy zeszyt przynosi obfitą kronikę ruchu esperanckiego na całym świecie, zaczynając od kroczącej na czele ruchu Francyi, która twórcę esperanta odznaczyła orderem legii honorowej i wprowadziła nowy język do szkół publicznych, a kończąc na egzotycznej Kanadzie, Boliwii, nawet legendowej Islandyi, a przedewszystkiem nie dającej się i tu wyprzedzić Japonii; następnie artykuł o volapüku i esperancie, „bajkę grecką“, napisaną oryginalnie w języku esperanckim przez p. St. Łazicę, dwa przekłady z poezyi polskiej: śliczny wiersz Konopnickiej „Kiedy poszedł król na wojnę“ w przekładzie Belmonta i „Czaty“ Mickiewiczowskie w przekładzie d-ra Zamenhofa, wreszcie drobiazgi bieżące.

Witold Skalski.

Nie bez miłego zdziwienia dowiadujemy się z łamów nowego pisma, jak wielką ilość dokonano już przekładów z języka polskiego na esperanto. W długim spisie figurują tu: Asnyk, Konopnicka, Mickiewicz, Słowacki („W Szwajcaryi“, „Ojciec zadżumionych“), Krasiński, Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Żeromski, Tetmajer, Sieroszewski, Reymont, Szymański, Dąbrowski, Gomulicki, Junosza, Gawalewicz, Niemojewski i jeszcze inni. Utwory tych pisarzy złożyły się na piękne wydawnictwo „Pola Antologio“, przeznaczone dla esperantystów in. krajów.

Towarzystwo lwowskie postawiło sobie za cel urządzać kursy esperanta, dostarczać członkom swoim na zebraniach sposobności do konwersacyi, gromadzić bibliotekę, urządzać odczyty, wydawać broszury, słowem, przyjęło na siebie wszystkie funkcye, nieodłączne od prawdziwego ogniska ruchu. Nakładem swoim wydało gramatykę i słowniki esperancko-polski i polsko-esperancki, nadto drugi nakład broszury agitacyjnej prof. Couturat'a i założyło wspomniany wyżej organ. Jeden z inicyatorów jego i gorliwych szermierzy inż. Edmund Libański otworzył w wydawanym przez siebie rozpowszechnionym tygodniku „Przemysłowiec“ stałą rubrykę dla spraw esperanta.

Na kongres esperantystów w Genewie, odbyty w pierwszych dniach sierpnia, mogli już esperantyści lwowscy wysłać własną delegacyę. W skład jej weszli najczynniejsi krzewiciele nowego języka w Galicyi: pp. Libański, Reiner, Łazica i Skalski.

Lubicz.

Liść.

Niby symbol drogi,
Którą przyjdzie iść —
Upadł pod me nogi
Drżący, zwiędły liść!

Zaległ w niemej głuszy
Tuż, u moich stóp—
Jakby radził duszy:
Złóż marzenia w grób!

I mnie wśród zieleni
Śmiał się słońcem świt!
A dziś o jesieni
Kończę próchnem byt!

I mnie z wiosną grało
Echo inną pieśń...
Spojrzyj, co zostało?
Niebyt... próchno.,. pleśń!

Upadł pod me nogi
Drżący, zwiędły liść...
Czyżby symbol drogi,
Którą przyjdzie iść?

Czyżby to marzone
O wiośnianych dniach
Miało niespełnione
Zostać jeno... w snach?

El.

Życie literackie we Francyi

VII. Wydawanie książki. — Dochody literatów.

Autorowie francuscy XVI i XVII wieku (następcy trubadurów i minstrelów średniowiecznych) należeli do zastępów domowników magnackich, o ile nie korzystali z przywilejów „wysokiego urodzenia“ lub stanowiska kościelnego. W osiemnastym wieku literat francuski zdąża szybkim krokiem ku wyzwoleniu i zdobywa nadzwyczajną powagę moralną. Ale dochody z wydanej książki były wówczas bardzo skromne. Rousseau dowodził, że literat uczynić powinien trzy śluby: *ubóstwa,* niezależności i prawdy. W początku zeszłego wieku nędza literata była we Francyi niemniej przysłowiowa, jak w Polsce. Tradycya nakazywała wierzyć, że autor, odziewający się na koszt publiczny, musi mieć dziurawe łokcie i brudną bieliznę. Stendhal, wielki Stendhal, otrzymał przez całe życie

3,000 franków za swe książki. Jeszcze w r. 1835 było zaledwie dwóch autorów, których dzieła sprzedawano w 2500 ogzemplarzy i płacono za nie od 3000 do 4000 franków (Wiktor Hugo i... Paweł de Kock). Inni, najpierwsi nawet (np. Alfred de Musset) nie pobierali wyżej nad 800 franków od tomu. Dopiero stary Dumas swym wielkopańskim przepychem pomścił rzemiosło literackie za pogardę wielu wieków; z pieniędzy które miał od wydawców, mógł był zbudować piramidę. Od jego czasów książka staje się „dobrym interesem". Thiers sprzedał swą „Historyę Konsulatu i Cesarstwa" za milion franków. Lamartinowi zapłacono z „Żyrondystów" 240.000 franków honoraryum. Ludwik Blanc napisał sławne zdanie: „Absurdem jest nietylko poczytywać pisarza za właściciela swego dzieła, ale proponować mu jakiekolwiek wynagrodzenie materyalne za pracę umysłową". Ten sam Ludwik Blanc zawarł w r. 1846 umowę, iż za „Historyę Rewolucyi" otrzyma 500.000 franków.

Te wszystkie jednak bajeczne honorarya należały do wyjątków. Ogół literatów, nawet poczytniejszych, z trudem wiązać musiał konicc z końcem, chociaż w ciągu wieku nastąpił olbrzymi rozwój księgarstwa. Merkantylizm, obniżając stopniowo zamiłowanie literatury, utrudniał położenie literata. Teodor Barrière wyraził gorycz całego pokolenia młodych i niezależnych artystów francuskich, gdy oznajmił, że „la littérature est une belle branche... pour s'y pendre". Toć zaledwie w r. 1878 przedstawiciele wszystkich piśmiennictw, zebrani na sławnym kongresie, ogłosili, iż talent ma niezaprzeczone prawo do zysków ze swych koncepcyj.

Dzisiaj, gdy młody autor francuski napisze romans lub tom poezyj ma do wyboru dwa sposoby ogłoszenia go drukiem: albo pod fikcyjnym nakładem „młodego przeglądu", w którym pisuje; albo też pod egidą znanego nakładcy. W jednym i w drugim wypadku wydać go musi z własnej kieszeni, o ile sprzyjające okoliczności nie uczyniły go głośnym. Książka, wydana nakładem młodego czasopisma, rzadko wyjść zdoła po za sferę specyalnych czytelników, przeważnie kolegów autora. Jeżeli wyjdzie z oficyny znanego nakładcy, ginie najczęściej w morzu zapomnienia. Wydawca rozsyła najpierw kilkaset egzemplarzy redakcyom dzienników i wybitniejszym krytykom. Ponieważ z góry wiadomo, że ani wybitny krytyk, ani jakikolwiek członek redakcyi książki takiej nie przeczyta, posyła mu się przy egzemplarzu recenzyjnym drukowane, króciutkie sprawozdanie, napisane przez samego autora, a nazywane w księgarstwie „prière d'inserer" (z prośbą o ogłoszenie drukiem). Autor, zależnie od stopnia skromności, wystawia sobie w takiej „prière d'inserer" świadectwo na wielkość. Jeżeli jest bogaty, może zapłacić dziennikowi za ogłoszenie drukiem takiego auto-referatu; jeżeli jest niezamożny, musi liczyć na rzecz bardzo niepewną, to jest na uprzejmość przypadkowego krytyka w jednem z rzadkich, uczciwych pism. Książka, ofiarowana krytykowi, zostaje przez niego sprzedana natychmiast antykwaryuszowi. Niektórzy krytycy normują w ten sposób swe skromne budżety. Jeżeli szczęśliwy, nadzwyczajny zbieg okoliczności obdarzy książkę rozgłosem, wtedy autor otrzyma za jedno wydanie (złożone zazwyczaj z tysiąca egzemplarzy) pięćset franków honoraryum autorskiego; a gdy dojdzie do wyjątkowej sławy, płaci mu wydawca 500 fr. od wydania i 30 centimów od każdego sprzedanego tomu. Powodzenie w takich razach zależy zawsze od schlebiania gustom tłumów, a zwłaszcza od stopnia zawartej w utworze pornografii. To też prawdziwi artyści, ludzie niezależnych dusz przymierają we Francyi głodem tak samo, jak w innym, mniej bogatym kraju. Jeżeli autor jest w stanie zapłacić za upozorowaną reklamę, sprawa sprzedaży jego książki pójdzie łatwiej. Może sobie wówczas kupić portret w dzienniku (500 franków) albo artykuł znanego krytyka (1,000 franków). Krytyk otrzymuje z tego od wydawcy zwykłe honoraryum, to jest 500 franków, resztę zaś przelewa się do kasy dziennika. Jeszcze dyskretniejszą formę „pomocy" stanowi maleńki artykulik, niekiedy podpisany znanem nazwiskiem, a ogłaszany pod tytułem: „Médaillon", „Portrait", „Coups de crayon", „Billet de naissance", „Billet du matin" i t. p. Za taki *medalionik* płaci się dziennikowi po 50 franków od wiersza.

Niekiedy, zręczni wydawcy, przeczuwając dobrą aferę, żądają od autora osobistego współdziałania w reklamie: jeden z nich np. obstalowywał u autora pojedynek na dzień wydania książki! Znanego, a niedawno zmarłego powieściopisarza Lucyana Muhlfelda wypuszczenie w świat każdej nowej książki kosztowało nieprawdopodobną sumę 30,000 franków.

Przy takich warunkach wydawniczych wymienić można drobną zaledwie garstkę powieściopisarzy, którzy otrzymują ze sprzedaży każdego swego romansu więcej, niż 10,000 franków. Zola pobierał bardzo znaczne honorarya, płacono mu bowiem 75 centimów od tomu, a jak wiadomo, niektóre jego romanse wychodziły w olbrzymiej ilości egzemplarzy („La Débâcle" 187,000, „Nana" 171,000, „L'Assomoir" i „Lourdes" 132,000, „La Terre" 113,000 i t. d.). Bardzo poczytnym był Alfons Daudet. Jego „Sapho" rozeszła się w 100,000 egzemplarzy, „Le Nabab" 97,000, „Fromont jeune" 95,000, „L'Immortel" 77,000. Romanse Ohneta i Lotiego wypuszczane bywają odrazu w 50,000 egzemplarzy. „Les Demi-Vierges" Prevosta dosięgły niedawno 60,000 egzemplarzy. Powieści Bourgeta wychodzą zazwyczaj w 30 do 35,000 egz.; Andrzeja Theurieta od 15,000 do 20,000 egz. Niektóre opowiadania Mendèsa rozeszły się w 25,000 egz.; „L'Armature" i „l'Enigme" Hervieu'go zostały sprzedane w 30,000 egzemplarzy. Courteline i Willy również dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Inni, nawet bardzo popularni zarobić mogą od trzech do pięciu tysięcy franków rocznie. Burżuazya francuska lubi wprawdzie czytać książki lekkie, ale ich nie kupuje. Pożycza w *cabinets de lecture*. Sport zresztą, kawiarnie, wyścigi konne i bicykl zabierają wszelkie chwile wolne. Prowincya francuska oddawna już nie nabywa romansów (nie wspominam, oczywiście, o poezyi). Większość utworów współczesnej beletrystyki francuskiej rozchodzi się tedy za granicą, która wymaga strawy specyalnej, oddawna już renomowanej. Im mniej zresztą czyta się we Francyi książek, tem bardziej wzrasta ich produkcya. W ostatnich latach w Bibliotece Narodowej składano rocznie do 15000 druków francuskich, na terytoryum republiki wydanych.

Znawcy obliczają, że dwa razy tyle wynoszą corocznie powieści, drukowane w felietonach dzienników, a niewydawane oddzielnie. W produkcyach tych, o ile pochodzą od autorów oryginalnych, stoimy już bardzo daleko od wszelkiego, najdrobniejszego nawet przejawu literatury. „Twórczość" podobna ma na celu dostarczenie episierskiemu czytelnikowi codziennego, umiarkowanego podniecenia. Człowiek, pozbawiony wszelkiej uczciwości artystycznej, a obdarzony sprytem i swobodą przelewania pustego w próżne, może na tej drodze dorobić się łatwo wzięcia, a co zatem idzie—fortury. Niektórzy fabrykanci powieści felietonowych zarabiają w Paryżu po kilkadziesiąt tysięcy franków rocznie. Ponieważ pobiera się honoraryum od wiersza, więc „powieść" przeładowana jest zawsze czczą gadaniną i dyalogami takiego pokroju: (Rozmowa pana ze służącym).

„— No, i cóż? — Nic. — Nic?— Nic. — Jakto? — Nic, mówię panu— To niemożliwe! — Mówię panu, że tak. — Czy jesteś pewny? — Najzupełniej. — Nie mylisz się? — Nie.—

A tego już zanadto! — A jednak mówię panu, że nic.“

Taki specyalista buduje od razu kilka felietonów. Richebourg pisywał zazwyczaj po cztery felietony na dzień i dorobił się szybko milionowej fortuny. Aby nie pomieszać bohaterów swoich romansów, uzmysłowił sobie każdego pod postacią figurki ołowianej, na której naklejał odpowiednią karteczkę. Figurki każdego romansu zamykane były w oddzielnej szufladce, w piątej żaś, dodatkowej a mało strzeżonej przegródce znajdowały się trupy, to jest bohaterzy romansów, którzy pomarli albo zostali przez autora pomordowani. Otóż pewnego razu wydarzył się Richebourgowi niemiły wypadak: mały siostrzeniec, zaintrygowany temi ładnemi figurkami, zakradł się raz do szufladki z „trupami“ i pomieszał je z postaciami, które stały na biurku mistrza, a należały do jednego z „opracowywanych“ romansów. Nazajutrz kilkadziesiąt czytelniczek felietonu doznało straszliwego niepokoju: czterech nieboszczyków powstało nagle z grobu!!... Ksawery Montépin potrafił w ten sposób napisać 120,000 wierszy rocznie. Jeżeli renomowany pisarz popularnych felietonów nie może wydążyć, bierze sobie młodych „pomocników“, płaci im nieźle za pracę, a potem podpisuje ich produkcye własnem nazwiskiem. Niekiedy i tu zdarzają się rzeczy humorystyczne: pomocnik dobiera sobie jeszcze podpomocnika, tak iż rzekomy autor sam nie wie, kto jego książkę napisał...

Jan Lorentowicz

Rondo.

Stara piosenka na szpinecie
Snuje się słodka, cicha, mięka...
Zda się, że płynie od krosienka...
Idzie wskroś zmierzchłych dni zamiecie
I o umarłym mówi świecie
Stara piosenka.

Jak *puka żołnierz do okienka,*
Jak *tam na błoniu błyszczy kwiecie,*
Jak *stoi hułan na pikiecie—*
Stara piosenka.

I pierś mi krwawi wspomnień męka:
Sad wonny... złotowłose dziecię,
Co mi równiankę szczęścia plecie...
Noc szału—i nić złota pęka...
Stara piosenka.

Władysław Nawrocki.

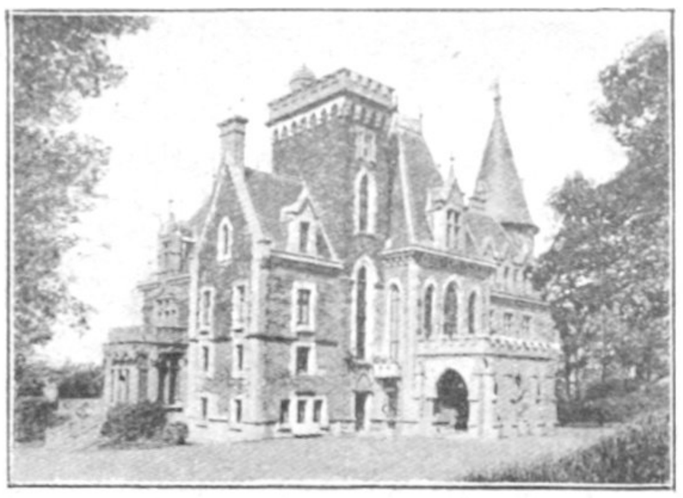

Zamek w Ker-Stears.

Błękitny dyament.

autentyczna historya stanowiąca gotowy materyał dla autorów poszukujących tematów bardzo modern.

Pani hrabina de Bodellec du Porzic jest interesującą osobą; jako młode dziewcze bardzo arystokratycznego pochodzenia podbiła serce niejakiego Stearsa; był to amerykanin, co wcale nie stanowi rekomendacyi w sferach bretońskiej szlachty; był to człowiek starszy, co ledwie że jest tolerowane u kandydata na męża; był to milioner, co nie bywa źle widziane nawet śród starożytnych rodów. Stears się zakochał w szlachciance bretońskiej, a szlachcianka wyszła za mąż za Stearsa.

Ale, że w ordynarnej Ameryce było trudno wyżyć wykwintnej damie, małżeństwo zamieszkało we Francyi, a amerykański bogacz wybudował niedaleko od Brestu wspaniały zamek, który wystawił najatrakcyjniejszy uczeń genialnego Viollet-le-Duc'a według wzorów, przesiąkniętych tradycyami miejscowemi.

Młoda pani, wzamian za tyle względów dla jej gustów i zamiłowań pozwoliła, aby zamek ten nazywał się po amerykańsku. Dano przeto imię *Ker-Stears* co znaczy „gniazdo Stearsów“.

Stears żył niedługo.

I przypuśćmy, że był przez małżonkę swoją opłakiwany.

Młoda wdowa, odziedziczywszy miliony męża, który nie zapomniał uczynić testamentu, spostrzegła dnia pewnego, iż łzy jej wyschły. A że do stanu małżeńskiego, może skutkiem nabytego już doświadczenia, miała inklinacyę, wyszła powtórnie za mąż,—tym razem już w swoim świecie.

Rozdział pierwszy, przygotowujący teren skończony.

W drugim rozdziale poznajemy bohatera opowieści. Jest nim elegancki i wykwintny rosyanin, dyplomata, który się odznaczył w Washingtonie, gdzie zajmował urząd sekretarza ambasady a potem w Rio Janeiro. Nazwisko nie rosyjskie: Greger. Ale imię dość rosyjskie: Aleksander. Wyznanie? Widziano go raz modlącego się w katolickim kościele. Ale wątpić należy, czy jest katolikiem. Czyżby dano mu odpowiedzialny urząd w dyplomacyi rosyjskiej?

W każdym razie pan radca stanu Greger w ostatnich czasach był tylko „byłym dyplomatą“ i czekając na możność oddawania dalszych usług państwowych, spędzał dni, mając mniej więcej u boku panią Greger, wesołą i pełną życia damę, w wykwintnych towarzystwach paryskich z „najlepszego świata“, gdzie ludzie umieją się bawić w dyskretny i delikatny sposób.

Pani hrabina de Bodellec du Porzic znała pana Greger'a. I to od lat piętnastu. Był on „*un ami*“, przyjaciel, co we francuskim języku i we francuskim obyczaju nie znaczy wcale tyle, co u nas. *Ami*—to ledwie dobry znajomy, przełożony na polskie.

Na lato arystokracya francuska wyjeżdża do swych zamków. Przyjaciele są zapraszani w gościnę. Większość komedyi współczesnej literatury francuskiej dzieje się właśnie wtedy...

I pan radca Greger został zaproszony wraz z małżonką do Ker-Stears...

Rozdział trzeci. Mamy już wszystkie osoby, powieści, dramatu czy farsy (można z tego zrobić, co się podoba) oprócz tylko przypadkowych, jak komisarz policyi, którego zresztą nie można wprowadzić zbyt wcześnie, nie chcąc pozwolić czytelnikwoi zajrzeć w karty autorskie.

Intryga zaczyna się więc, a zaczyna dość zdaleka. Hrabina bretońska w rozmowie, trochę zbyt szczerej, zwierza się byłemu dyplomacie, że jej obecny francuski mąż nie wart jest dawnego amerykańskiego.

— To się pani z nim rozwiedź!—pospiesza z wielce niedyplomatyczną radą były dyplomata.

Hrabina wzdycha.

— Przecież majątek jest pani...

Onaby wolała, aby jej mąż francuski kochał ją tyle, co amerykański...

Nowy rozdział. Wstępuje na scenę dyament błękitny.

Radca ambasady Greger z żoną.

— Jaki piękny klejnot masz hrabino — wołają pewnego razu goście Ker-Stears'a.

— I ma on swoją historię...

— Doprawdy?! Proszę nam ją opowiedzieć.

Tu opowiadanie musi być rozłożone na dwie osoby. Część mówi sama hrabina, część powinien powiedzieć jakiś przyjaciel domu, rezoner przypuśćmy...

— Ten dyament stanowił część korony poczciwego Ludwika Filipa. W jaki sposób stał się własnością księcia d'Aumale, tego dobrze wytłomaczyć nie umiano, ale to się stało niezawodnie w sposób naturalny i pozbawiony interesu dramatycznego...

Tu mówi hrabina

— Potem...

Tu urywa.

I zaraz zabiera głos rezoner, (który przy tej okazyi nic do rezonowania zresztą nie ma).

— Potem dyament ten przyszedł na paluszek pięknej Leonidy Leblanc, co się łatwo tłomaczy tem, iż był przecież czas, gdy książe d'Aumale, którego my poznaliśmy jako starca, miał, także, jak każdy z nas, swoje lat dwadzieścia pięć...

To może się wtrącić jeszcze przyjaciółka domu i dokończyć:

— I na licytacyi po śmierci tej panny kupił dyament błękitny nieboszczyk Stears za... za ile hrabino?

— Za 50,000 franków.

Nowy rozdział. Hrabina i dyplomata są sami w salonie pewnego wieczoru.

— Czy by pani czego nie zagrała?— prosi dyplomata. — Wieczór tak piękny, melancholijny.

— Chętnie — mówi hrabina.

I zdejmuje pierścionki z palców.

Nazajutrz pokojówka oznajmia pani, że między klejnotami, złożonemi na lichtarzu, niema błękitnego dyamentu.

Hrabina poczyna sobie przypominać wieczór wczorajszy. Nie było nikogo w salonie, oprócz Gregera. On to nawet pomógł jej pogasić światła przy pożegnaniu...

Piękny dyplomata, doprawdy...

Klejnot zbyt jest cenny, aby można było na taki przypadek machnąć ręką, nawet gdy się jest milionerką.

I tu następuje scena — ekstra modern:

Hrabina w rozmowie oględnej, ale stanowczej, mówi w oczy niedyplomatycznemu dyplomacie.

— To pan, nikt inny.

Dyplomata śmieje się—może zuchwale, — może cynicznie, — może naiwnie.

— Co to za żarty?!

Hrabina bierze na odwagę:

— Panie, jeżeli zwrócisz dyament, przyrzekam ci, że puszczę wszystko w niepamięć.

— Co za propozycya!?

Zjawia się w tem miejscu komisarz policyi. Francuski komisarz policyi. Dyskretny, zręczny, uprzejmy i bystry.

I on ma rozmowę z Greger'em. Informacyjną.

— Jak to stać się mogło?

Greger nie pojmuje... oczywiście...

No, i komisarz nie pojmuje...

Po tej nowej scenie, jeszcze mocniej modern, komisarz mówi do hrabiny:

— Nie róbmy awantur. W chwili odjazdu zrewiduje się kufry panicza i znajdziemy w nich naszą zgubę.

Nowy rozdział. Odjazd Gregera. Rewizya policyjna...

Błękitny dyament znalazł się we flakonie toaletowego neceseru dyplomaty...

Nie można być, doprawdy, mniej dyplomatycznym...

Co robić teraz?

Hrabina raz jeszcze chce ocalić gościa.

— Przyznaj się pan, żeby uwolnić od podejrzeń niewinnych, a nie podam skargi...

Greger robi minę obrażoną:

— Ker-Stears jest miejscem, gdzie urządzają gościom ładne kawały...

— A! — wybucha oburzeniem hrabina...

Skarga podana. Sprawa staje się pastwą dzienników, co już stanowi rodzaj ciężkich robót dla obwinionego.

Greger broni się fatalnie. Chce zwalić winę na służbę. Potem na—hrabiego. Mówi, że to jest jego zemsta za to, że hrabinie doradzał rozwód. Potem idzie się modlić do kościoła, aby Bóg go podtrzymał w ciężkiej próbie. Potem się plącze w tem co mówi i coraz gorszą czyni swoją pozycyę...

...Czy nie cały gotowy temat podaje tu życie autorom, poszukującym czegoś nowego?! Można z Gregera zrobić w powieści czy komedyi przewrotnego aktora przestępstwa lub niewinną ofiarę intrygi. Jak było istotnie — może śledztwo to wykryje, może tego i nie wykryje. Autor ma wolne pole do dorobienia do faktów psychologicznego podkładu, który opowieści nada to istotne a ideowe głębokie życie, jakiego rzeczywistość, zawsze sucha i fragmentaryczna, natchnąć szczególnego tego zdarzenia nie ma mocy.

Światowy.

Przeciwko wandalizmowi pamiątek historycznych w Polsce.

Po wielu latach oczekiwania powstaje nareszcie instytucya, która stanie do walki z współczesnym wandalizmem. Grono ludzi dobrej woli, z mec. Powichrowskim na czele, zawiązało Towarzystwo opieki nadhistorycznemi pamiątkami i zabytkami sztuki i kultury polskiej. Dotychczas w Królestwie konserwacya zabytków przeszłości była dość zaniedbana, bo zajmowało się nią tylko niewiele prywatnych osób, zasłużone zaś krakowskie Towarzystwo opieki nad zabytkami—aczkolwiek działalność jego rozciągała się także na Królestwo—nie mogło rozwijać tam żywszej akcyi, mając zbyt wiele zadań w tym kierunku na całym obszarze ziem polskich. To też nowe Towarzystwo wypełnia ważną lukę kulturalną, stając do wspólnej pracy z podobnemi stowarzyszeniami w Galicyi.

Świeżo pojawiła się w druku ustawa nowo zawiązanego Towarzystwa, przedstawiająca cele i środki działania. Artykuł trzeci ustawy przedstawia plan akcyi w sposób następujący: Nowa instytucya 1) wyszukuje i inwentaryzuje pamiątki i zabytki polskiej sztuki i kultury; 2) gromadzi pomienione zabytki drogą kupna, darowizn, zapisów i t. p.; 3) otacza opieką, zabezpiecza od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi ruiny zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczonie historyczne, archeologiczne lub artystyczne i przedsiębierze wszelkie środki, zapobiegające uskodzeniu ich i zagładzie. Nadto odnawianie zabytków artystycznych i pamiątek historycznych nieruchomych, czy to prywatnych, czy też publicznych, miejskich i kościelnych, jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa uskutecznionem być może; 4) nabywa na własność nieruchome pamiątki i zabytki, lub też wyjednywa u rządu wywłaszczenie ich na użytek publiczny; 5) pomieszcza na domach i miejscach, upamiętnionych wydarzeniami dziejowemi lub pobytem znakomitych mężów, tablice z odpowiednimi napisami; 6) mianuje na całem terytoryum swojej działalności, gdzie się pokaże potrzeba, korespondentów, działających z ramienia i dla celów Towarzystwa; 7) urządza w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczyty i pogadanki bądź w ograniczonem kole swoich członków, bądź dla szerszych kół publiczności; 8) prenumeruje fachowe czasopisma i gromadzi dzieła, celom Towarzystwa odpowiednie, dla użytku zarządu i członków Towarzystwa; 9) wydaje własne czasopismo lub obiera jeden z istniejących już organów prasy za swój specyalny organ, w którym Towarzystwo pomieszczać będzie prace naukowe swoich członków, dotyczące zabytków i pamiątek, peryodyczne sprawozdania ze swojej działalności i poszczególnych swych członków, oraz sprawozdanie z ogólnych zgromadzeń Towarzystwa; 10) utrzymuje stosunki z polskiemi i zagranicznemi Towarzystwami i instytucyami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

Członkowie Towarzystwa dzielą się na: 1) członków założycieli; 2) protektorów; 3) zwyczajnych i 4) honorowych. Członkiem założycielem jest każdy, kto na cele Towarzystwa złoży jednorazowo przynajmniej rb. 100. Członek protektor płaci rocznej składki co najmniej 10 rb. Członek zwyczajny płaci co najmniej rubla rocznie. Członkowie honorowi wolni są od opłaty składek, czy to jednorazowych, czy też rocznych. Tymczasowe biuro Towarzystwa mieści się w kancelaryi adwokata przysięgłego Włodzimierza Powichrowskiego (Warszawa, Włodzimierska 14) dokąd też osoby interesowane mogą się zwracać po wszelkie informacye, tyczące się zadań nowej instytucyi.

Nie można wątpić, że nowe Towarzystwo skupi około siebie wszystkie osoby, którym drogie są zabytki naszej przeszłości i że wspólna, konsekwentna praca uratuje dla przyszłości niejedną pamiątkę, która w innym razie mogłaby uledz zniszczeniu.

Dla dziatwy robotniczej Niekłania.

Z prowincyi polskiej dochodzą nas jednak nie tylko echa strzałów bandyckich i wieści o wsiach spalonych przez dziką zemstę. Oto mamy parę obrazków, zdjętych na świeżem powietrzu, pod Niekłaniem w lesie okolicznym, gdzie widzimy mnóstwo dzieciaków, jednych pakujących do buzi podwieczorek, innych wyciągających rączki do piłki, mającej za chwilę wyskoczyć do góry — wszystkie rozbawione, uśmiechnięte i z pewnością uszczęśliwione. Hrabiowie Platerowie — właściciele ziem okolicznych i zakładów fabrycznych—urządzili tę „sierpniówkę“ dla dziatwy pracowników swoich, a z fotografii samej już można ocenić o ile ten pełen delikatności pomysł się udał. Niekłańskie dzieci z pewnością marzą teraz ciągle: „Kiedy to znowu będzie taka zabawa?!!“

Fot J. Grodzicki w Radomiu. — Kto złapie piłkę?

Nikt nie wróci do domu z pustemi rękami...

BOMBA.

Pan Karol z pewną niechęcią odłożył pisma, w których nie było ani jednej sensacyjnej wiadomości i powoli zaczął pić kawę.

W tej samej chwili do kawiarni wszedł jego kuzyn, początkujący literat Skulski.

Ujrzawszy zdaleka Skulskiego, pan Karol szybko pochwycił do ręki gazetę i starannie się nią osłonił, pragnąc uniknąć wymiany ukłonów. Dziwnie nie lubiał tego „literaty“ jak go z przekąsem nazywał, a który według jego opinii, nie tyle był literatem, ile próżniakiem i to nie początkującym bynajmniej, a dawno przez wszystkich uznanym.

Zupełnie odmiennego zdania była żona pana Karola, wielka i doświadczalna miłośniczka literatury i sztuk pięknych i to doprowadzało nieraz małżeństwo do sprzeczek. Gdy pan Karol zbyt złośliwie się o kuzynie wyrażał, pani Julia stawała w jego obronie.

— Czego od niego chcesz?... Zdolny chłopak, wyrabia się powoli.

— A tak, wyrabia po knajpach... Dziwię się tylko, że są redakcye, które drukują te jego bazgroty.

— Ma talent.

— Cóż go tak bronisz?

Po tem pytaniu, pani Julja zmieniała zawsze temat rozmowy.

Skulski, znając niechętne usposobienie kuzyna odwiedzał go zrzadka, a przy spotkaniu na ulicy poprzestawał na ceremonialnej wymianie ukłonów. Pan Karol jednak, do tego stopnia był mu niechętny, że i tych ukłonów nie lubiał. Dlatego też zasłonił się gazetą.

Ale Skulski nie zwracał na to uwagi. Nieproszony, podszedł, przysunął sobie krzesło, usiadł i tak się blisko pochylił, że pan Karol uczuł jego oddech na twarzy.

— Czem mogę panu służyć?— zapytał, odsuwając się manifestacyjnie.

Skulskiego to nie stropiło. Jeszcze bardziej pochylił się ku panu Karolowi.

— Dobrze, że pana spotykam— zaczął tajemniczym tonem—wszak państwo mieszkają po dawnemu na Nowogrodzkiej między Marszałkowską a Kruczą?

— No tak.

— Która jest teraz? Skulski spojrzał na zegarek. Dziesięć minut po piątej. Niech pan przed ósmą do domu nie wraca.

Skulski miał minę tak uroczystą, i mówił tak tajemniczym półgłosem, że pan Karol mimowoli, zaczął się czegoś obawiać.

— Ale dlaczego? Niech mi pan wytłomaczy..

— Będzie... bomba—dodał ciszej Skulski,

I wykonał ręką w powietrzu jakiś groźny ruch, który miał uzmysławiać rzucenie bomby.

Pan Karol pobladł.

— Bomba... na Nowogrodzkiej, co pan plecie? odezwał się po chwili.

— Jakto co plotę?—żachnął się Skulski. Wiem, że pan w tamtych stronach mieszka i uważałem za swój obowiązek przestrzedz pana. To chyba zrozumiałe.

— Ależ ma się rozumieć, serdecznie panu dziękuję—przerwał mu żywo pan Karol, wyciągając dłoń do uścisku. Ale może to plotka?

— Fakt.

— I na kogo?

Skulski wymienił nazwisko.

— I rzucą?

— Mogą rzucić, mogą nie rzucić. Ale w każdym razie przestrzegają—dodał, kładąc, szczególniejszy nacisk na ostatnim wyrazie. Gdyby kto chciał ryzykować, to oczywiście może pójść, ale—a nuż trafi na samą chwilę właśnie.. Fiut!

I Skulski zakreślił ręką łuk w powietrzu.

— I to teraz?

— Między piątą a ósmą. Może już w tej chwili, może za kwadrans, może za godzinę. Przecież bomba to nie pociąg, żeby można co do minuty oznaczyć?

Pan Karol blady był jak trup. Naraz porwał się rozpaczliwie rękami za głowę.

— Ależ moja żona może wyjść z domu.

— Prawda. Niech pan w tej chwili siada w dorożkę i jedzie. Może pan jeszcze zdąży.

— Jakto? Przecież już jest po piątej — bełkotał przerażony pan Karol.

— Tak... no... Skulski zamilkł i nerwowo zatarł ręce.

— Drogi panie, niech też mi pan poradzi, co ja mam robić? Jabym poszedł, ma się rozumieć, w tej chwili—no, ale niech mnie Boże uchowaj jakie nieszczęście spotka po drodze. Moja żona nie przeżyłaby tego. Jestem pewien, żeby nie przeżyła... I jakżeż ja mogę kobietę na śmierć narażać?

Pan Karol mówił to wszystko już nawpół z płaczem prawie.

Skulski milczał ponuro.

— Mój drogi, poradź, ratuj—wołał pan Karol, zapominając już o niechęci jaką czuł do kuzyna i przechodząc z panie na ty.

— Ja pojadę—rzekł nagle Skulski, wstając szybko od stołu.

— Nie boisz się?

— Nie... A zresztą... To jest moim obowiązkiem. Jestem młody, sam, byłoby małodusznością kryć się przed niebezpieczeństwem, skoro chodzi o uratowanie czyjegoś życia.

Pan Karol ze łzami w oczach rzucił mu się na szyję.

— Idź... I zostań już u nas, ja wrócę wieczorem, jak się wszystko uspokoi. A ty siedź. Pamiętaj, że niepotrzebnie narażać ci się nie wolno!

Ucałowali się i Skulski wyszedł.

Pan Karol siedział przez kilka chwil oszołomiony, nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego, co zaszło. Czuł, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, może śmierci, i że stało się to dzięki Skulskiemu. Niesympatyczny kuzyn w jednej chwili wyrósł w jego oczach na dzielnego człowieka.

Skinieniem ręki przywołał do stolika kelnera.

— Czy Antoni wie, że dziś mają bombę rzucić?

— Nie, gdzie? — zadziwił się kelner.

— Na Nowogrodzkiej. Przestrzegali, żeby nie chodzić między piątą a ósmą.

— I, abo to raz tak przestrzegają—mruknął stary kelner, kręcąc nieufnie głową.

Ale powtórzył kilku gościom zasłyszaną nowinę i pogłoska szybko rozeszła się po kawiarni. Wreszcie za pośrednictwem jednego ze znajomych wróciła do pana Karola.

— Słyszał pan, bombę mają dziś rzucić?..

— Aha, więc i pana przestrzegali?—zapytał żywo.

— Mnie nie, ale podobno przestrzegają, żeby po Nowogrodzkiej nie chodzić. To w pańskich stronach.

— Właśnie. Ja się w kawiarni dowiedziałem. Uprzedziłem żonę, żeby na krok nie ruszała się z domu, a sam nie mogę wrócić.

— Oczywiście, lepiej przeczekać.

Siedział więc i aż się pocił ze zdenerwowania, oczekując na wiadomość o wybuchu bomby. Pił bez przerwy czarną kawę, palił papierosa po papierosie i co chwila chorobliwie spoglądał na zegarek. W mia-

rę, jak się zbliżała ósma, niepokój jego wzrastał. Na szczęście do stolika, przy którym siedział, przysiadło się kilku znajomych, zaczęli gadać o tem o owem. Pan Karol wciągnął się powoli w wir rozmowy i to go uspokoiło.

Wszystkim znajomym opowiadał szczegółowo, że właśnie w tych stronach, gdzie mieszka, lada chwila mają rzucić bombę i, że on cudem prawie uniknął śmierci. Dzięki temu stał się bohaterem chwili. Słuchano go z uwagą i czas płynął niepostrzeżenie; wreszcie wybiła dziesiąta, można było bezpiecznie wracać do domu.

— Nie udało im się widocznie dzisiaj—pomyślał pan Karol i uspokojony wsiadł do dorożki. Odzyskał swój zwykły, pogodny humor.

— Nareszcie spojrzeliśmy sobie oko w oko z rewolucyą—myślał, poświstując wesoło.

To poczucie niebezpieczeństwa, którego mu się udało tak szczęśliwie uniknąć, napełniało go dumą. I własny dom wydał mu się dzisiaj tak rozkoszny, jak nigdy, zaniepokoił go tylko zmieniony wygląd żony.

— Co ty masz takie podsiniałe oczy?—zapytał.

— Ja... zdaje ci się...—odparła żywo pani Julia i usunęła się w cień

Ale po chwili dodała:

— A może i mam. Nie uwierzysz, jak mnie głowa bolała i nawet jeszcze boli. Muszę się zaraz położyć.

— Połóż się, połóż, takie nerwowe wyczekiwanie, to męczy—potwierdził ze współczuciem pan Karol.—Całe szczęście, że ta bomba nie wybuchła jednak—dodał po chwili.

Pani Julia nic na to nie odpowiedziała. Przeciągnęła się leniwie, a na wargach jej wykwitł błogi uśmiech.

— Tak, to dobrze się stało, że zamach się nie udał—powtórzył zamyślony pan Karol.

Pani Julia myślała co innego. Myślała, że właśnie zamach udał się świetnie. Ale mąż jej myśli zgadywać nie umiał, więc ta różnica zdań wyjątkowo nie wywołała sprzeczki.

Włodzimierz Perzyński.

Pomnik Staszyca.

Staszyc ma swój pomnik. Otrzymał go przed Krasińskim, i przed Słowackim, przed Kochanowskim, przed Kościuszką, i przed Chopinem. I przed tylu, tylu, co byli czołem narodu i sercem narodu. Zanim przyjdzie możność oddania w kamieniu i spiżu hołdu tym wielkim polakom, którzy naród nasz cały umieli dłużnikiem swoim uczynić,—więcej bowiem mu dali, aniżeli odeń otrzymali—radujmy się, żeśmy mogli dług wdzięczności wypłacić temu mężowi, który nie-

Odsłonięcie pomnika Staszyca w Kielcach.

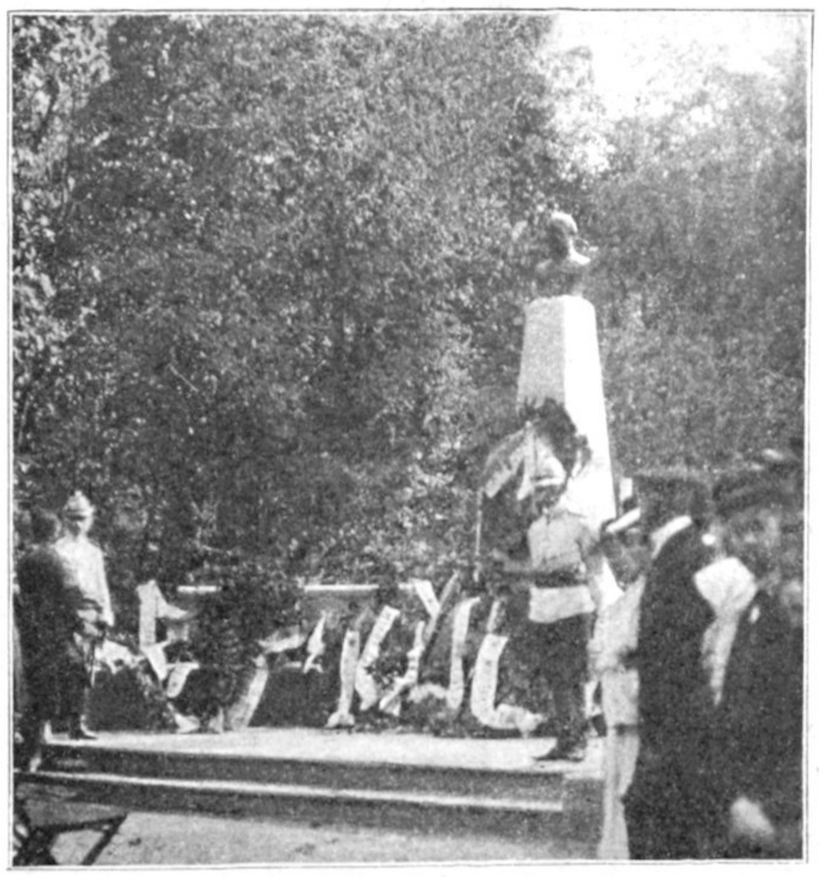

U stóp pomnika złożono liczne wieńce.

tylko myśl zdrową u nas budził, ale jeszcze przekuł ją na stal czynów i pracy. Staszyc odkrył, jeden z najpierwszych, przed narodem drogę, na której nawet pobity, zwyciężony i do niewoli wzięty lud, może nagromadzić sobie elementy przyszłości lepszej, ucząc się pracować, zarabiać, oszczędzać, korzystać z bogactw natury i przyrodzonych zdolności. Ten pionier przemysłu był zarazem wysoce politycznym mężem i każdy z was, czytelnicy, może złożyć mu piękny hołd, zapoznając się z jego zupełnie nieznanemi dziś dziełami. Myśli zdrowych, i jędrnych, i praktycznych w nich mnóstwo, a każą one nieraz czytelnikowi zapominać, iż jest „duży czasu przedział“ między nim a nami i służyć za radę czasami na dobę dzisiejszą. Jedną z tych myśli wyjęto z dzieł jego i w złotych głoskach wydrukowano na pomniku. Warta tego. Brzmi ona: „Upaść może naród wielki—zginąć tylko nikczemny“.

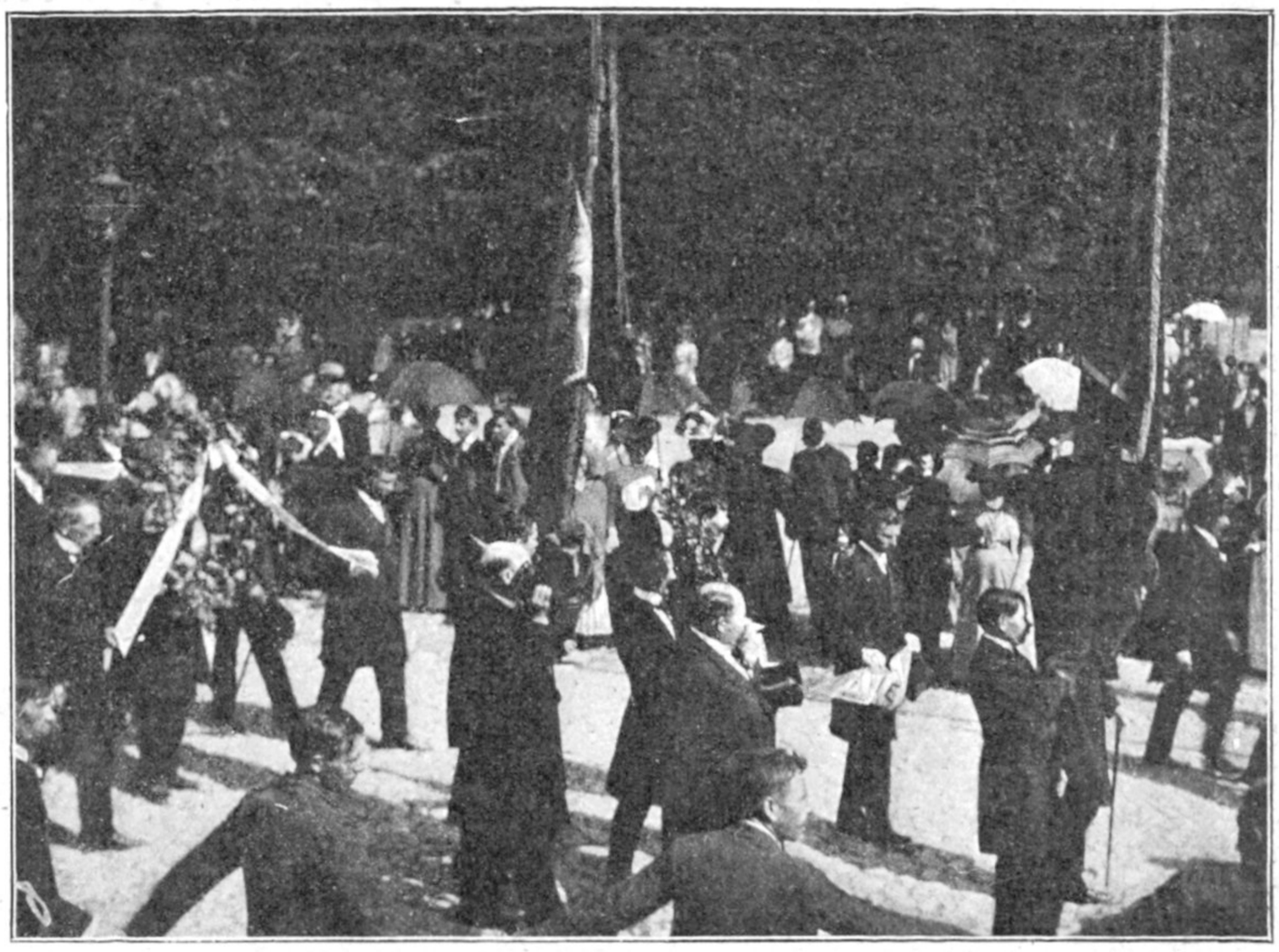

Pochód inauguracyjny z orkiestrą strażacką na czele.

Podczas mowy prezydenta m. Kielc, p. Garbińskiego.

Otwarcie nowej szkółki Macierzy dla dzieci Powiśla.

Poświęcenie szkoły Macierzy Polskiej przez ks. Siemca.

Rada opiekuńcza ubogich cyrkułu XI-go, znajdująca się pod kierunkiem ks. prałata Siemca, postanowiła znaczną część funduszów swoich użyć na zorganizowanie szeregu szkółek ludowych dla mieszkańców Powiśla. W tym celu Rada przyłączyła się do Macierzy polskiej, tworząc „Koło Opieki ubogich Powiśla“. Nowa instytucya otwarła już jedną taką szkółkę, której poświęcenie dokonane przez czcigodnego ks. prałata Siemca w tych dniach się odbyło. Ludzie dobrej woli oprócz ofiar w pieniądzach złożyli również większą część untensyliów do użytku szkółki przeznaczonych. Początek już zatem zrobiony, mamy jednak nadzieję, że *Koło* dołoży wszelkich starań, by liczbę podobnych szkółek powiększyć.

Felieton Warszawski.

Młodzi ludzie gotowi są w każdej kobietce prowincyonalnej upatrywać kokietę demoniczną. Starsi dziennikarze, pamiętający czasy Bismarka, w każdej sprawie politycznej wietrzą intrygę pruską. Zważywszy, iż socyaliści niemieccy wspomagają zasiłkami pieniężnemi nasze stronnictwa skrajne, i dalej, — że przemysł niemiecki znajduje się w chwili obecnej na wyżynach rozkwitu, gdy nasz ledwo dyszy w coraz gorszym rozkładzie,—wyciągnięto z tych przesłanek alarmujący wniosek: intryga pruska podtrzymuje u nas ruch rewolucyjny i strejkowy, ażeby zniszczyć przemysł polski, zaś przemysłowi niemieckiemu rozszerzyć nad Wisłą rynki zbytu.

Jest to znamienną cechą naszego społeczeństwa, że łudząc się nazbyt nieopatrznie nadzieją pomocy od obcych, źródło nieszczęść i zawodów—w przewrotności innych narodów upatruje. Można być przeciwnikiem doktryn Lassalle'a i Marxa; niepodobna jednak nie uznać uczciwości mężów, którzy stają na czele organizacyi socyalistycznych w Niemczech. Te same pisma zresztą, które dziś podejrzywają ich o tak piekielne zamysły, składały im hołdy szacunku i uznania, gdy w sejmie Rzeszy niemieckiej przeciw uciskowi polaków występowali. Prawdą jest, że socyaliści niemieccy potrafią być szczerymi i rozumnymi patryotami. Pouczają o tem mowy ich starego przywódcy Bebla. Posądzać ich wszakże o zdradzieckie i nikczemne podtrzymywanie zamętu w kraju sąsiednim, celem wzbogacania fabrykantów niemieckich i wzmacniania kapitalizmu niemieckiego,—niesprawiedliwym jest błędem.

Z upadku przemysłu w Królestwie korzysta zresztą przedewszystkiem wywtórczość przemysłowa rosyjska. Opowiadano mi, że w ciągu ostatniego roku z Petersburga do Warszawy wysłano perkalików za 2 miliony rubli, gdy dawniej eksport ten wcale nie istniał. Bo fałszywem jest mniemanie, iż to, co się dzieje w Królestwie, jest wyłącznie echem dramatu rozgrywającego się w Rosyi. Czyż tak jest istotnie?! Oczywiście, położenie w Cesarstwie dalekiem jest od normalnego ładu i spokoju. Lecz w wewnętrznych guberniach maszyny fabryczne nie przestają turkotać, w większych miastach uniwersytety otwierają swoje podwoje. Tylko w kresowych prowincyach sytuacya zbliża się do naszej.

Stosunek pracodawców do pracowników był w Warszawie i w Królestwie pod wieloma względami naganny. Pracownicy często byli niesumiennie wyzyskiwani. Ruch strajkowy wywołał rewizyę tych stosunków. Usunął sporo niesprawiedliwości. Niesłusznem byłoby nieuznać tego faktu. Być może, że jeszcze tu i owdzie potrzebną jest poprawa warunków pracy i bytu robotnikow, ale także nie ulega wątpliwości, że do naszych stosunków przemysłowych wkradła się anarchia, która wytwórczości krajowej grozi zupełną ruiną, a której odpowiedzialność spada wyłącznie na nasze stronnictwa skrajne. Nikt dziś chyba nie odmawia robotnikowi prawa do strajku. Jest to w jego ręku ostra broń w walce z nadużyciami kapitalizmu. Ale swoboda strajków może być uznaną tylko tam, gdzie jest uznaną wolność pracy. U nas przeciwnie. Wolność strajków zabiła wolność pracy.

Reformatorzy, którzy wypowiedzieli wojnę absolutyzmowi, sami działają z takim absolutyzmem, jakiego historya nie pamięta. W pewnej fabryce warszawskiej pracuje niespełna tysiąc robotników, pięćdziesięciu wyrostków, mieniących się przedstawicielami partyi, narzuca swą wolę wszystkim. Kto nie usłucha, temu grozi pchnięcie sztyletu lub kula rewolwerowa. Owa garść agitatorów dyktuje prawa olbrzymiej większości, normuje żądania i godziny pracy. Przyznaje się otwarcie, że celem tych działań jest obudzenie nieufności klientów do fabryki. Skoro nie będą nigdy pewni, iż otrzymają obstalunek w terminie, przestaną udzielać zamówień. Innemi słowy—jawnym celem tego teroru jest przyprowadzenie fabryki do bankructwa. Prawdopodobnie usiłowania zostaną uwieńczone powodzeniem. Znów rozszerzy się rynek zbytu dla jakiejś fabryki petersburskiej lub moskiewskiej. Czy to ma być walka rewolucyi z rządem? Zaiste w tej orgii bezładu tkwią dziwne nieporozumienia.

Teror socyalistów, panoszący się w budynkach fabrycznych, obdarzył nas jeszcze jedną łaską: jest nią wolność próżniactwa. Słyszałem od kilku poważnych przemysłowców, że przy znacznem podwyższeniu robocizny wydajność pracy zmniejszyła się w bardzo wysokim stopniu. Robotnik wiecuje w godzinach fabrycznych, czyta gazety, unika skwapliwie zmęczenia. Majstrowie obawiają się czynić uwag, bo wnet wywożą ich na taczkach. Akcya naszych rewolucyonistów nietylko niszczy dobrobyt kraju, ale przytem deprawuje duszę robotnika. Czyni go próżniakiem.

Nie wiemy jeszcze, jaki rezultat będzie tych krwawych zapasów, które prowadzi rewolucya z systemem rządowym. Dziś już możemy sobie zdać sprawę, jakie szkody i straty poniesie—społeczeństwo polskie. Zagrożoną jest nasza kultura narodowa, nasze stanowisko w świecie cywilizowanym, nasz dobrobyt materyalny, który stanowi w dzisiejszych warunkach siłę fizyczną społeczeństwa.

Redivivus.

W około sportu.

Grupa pań w loży.

Są ludzie, którzy się przysięgają na wszystkie świętości, że wyścigi są bardzo poważną, bardzo celową i bardzo społeczną instytucyą. Wierzmy im, boć co nam to szkodzi. Między tymi ludźmi najpoważniejsi utrzymują, iż wyścigi prowincyonalne mają większe i rzeczywistsze znaczenie od wyścigów stołecznych. Są one mianowicie bliżej i producenta koni, jakim jest hodowca, i tego konsumenta siły końskiej, jakim jest rolnik.

To fakt jednak niezawodny, iż kiedy patrzę na tor mokotowski, w całej jego nadobności, nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż to tylko:

— Panowie się bawią!...

A kiedy przypadkiem lat temu już coś dwadzieścia znalazłem się na torze w Pławnie, torze prawie takim, „jak go Pan Bóg stworzył“, miałem uczucie, że tu idzie o coś innego, jak tylko o pretekst do zakładów i o coś głębszego, aniżeli o manifestacye sportu.

Te wyścigi w Pławnie ongi miały tak zdecydowany charakter towarzyski i techniczny, że jest niemało z pewnością ludzi, którzy, jak ja, żałują szczerze dawnego toru.

Ale, to trudno... Trzeba żyć. A hodowla konna, aby żyć, musi ciągnąć za ogon tego dyabła, który się nazywa totalizatorem. Totalizator zaś jest mieszczuchem i wieś mu nie służy.

Po przeniesieniu wyścigów do Piotrkowa nie utraciły one swego charakteru towarzyskiego, który był głównym wdziękiem tych sportowych reunionów. W tym sezonie nawet uczyniono coś, co życie towarzystkie ożywić musiało. Mianowicie, według mody angielskiej, wyhodowanej głównie w Indyach, wprowadzono nową grę: *Gynghanę*. Niech was nie przestraszają te słowa obce, albowiem—nie one znaczą...

Więc Gynghana?...

Oto jedna z figur, która wam da pojęcie, wystarczające o całym rodzaju:

Grupa młodych jeźdźców, oczywiście dżentelmanów, ustawiona w linię, na dany znak przez startera lub starterkę, rzuca się w wyciągniętym galopie ku mecie, u której leży szereg parasoli.

Sztuka polega na tem, aby zlecieć zręcznie z konia, porwać parasol, otworzyć go i z otwartym wrócić pierwszym do startu.

Zwycięzcą w Gynghanie piotrkowskiej został dzielny sportsman, hr. Karol Skarbek. Nie wątpimy, że nagrodzono go, jak na to zasługiwał.

Sprawozdanie ze sportu znajdziecie w „Sporcie“. Niech wam wystarczy wiadomość, że konie, jak zawsze, zrobiły swoje; no i że to samo zrobił, jak zawsze, totalizator.

Niesporstman.

Wyścigi konne w Piotrkowie.

Zwiedzanie terenu dla konkursów hipicznych. 1) Henryk Bławdziewicz (koń „Prinz“ Tadeusza Dachowskiego). 2) Artur Bożewski („Mira“ hr. Komorowskiego). 3) Bronikowski („Doping“). 4) Tad. Dachowski („Gryling“). 5) Karol hr. Skarbek (kl. „Darling“ K. Górskiego).

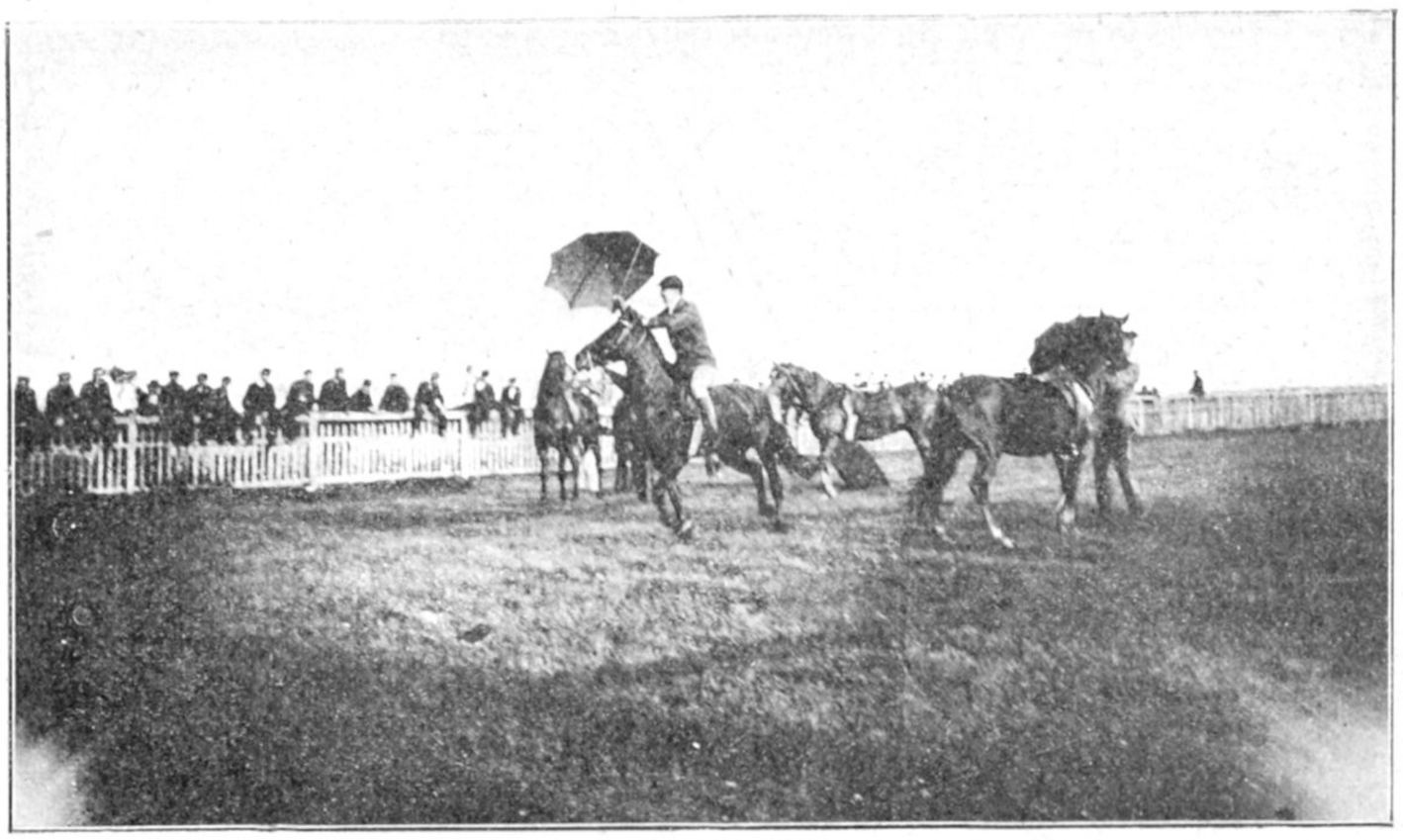

Wyścigi z parasolami (Gynghana).

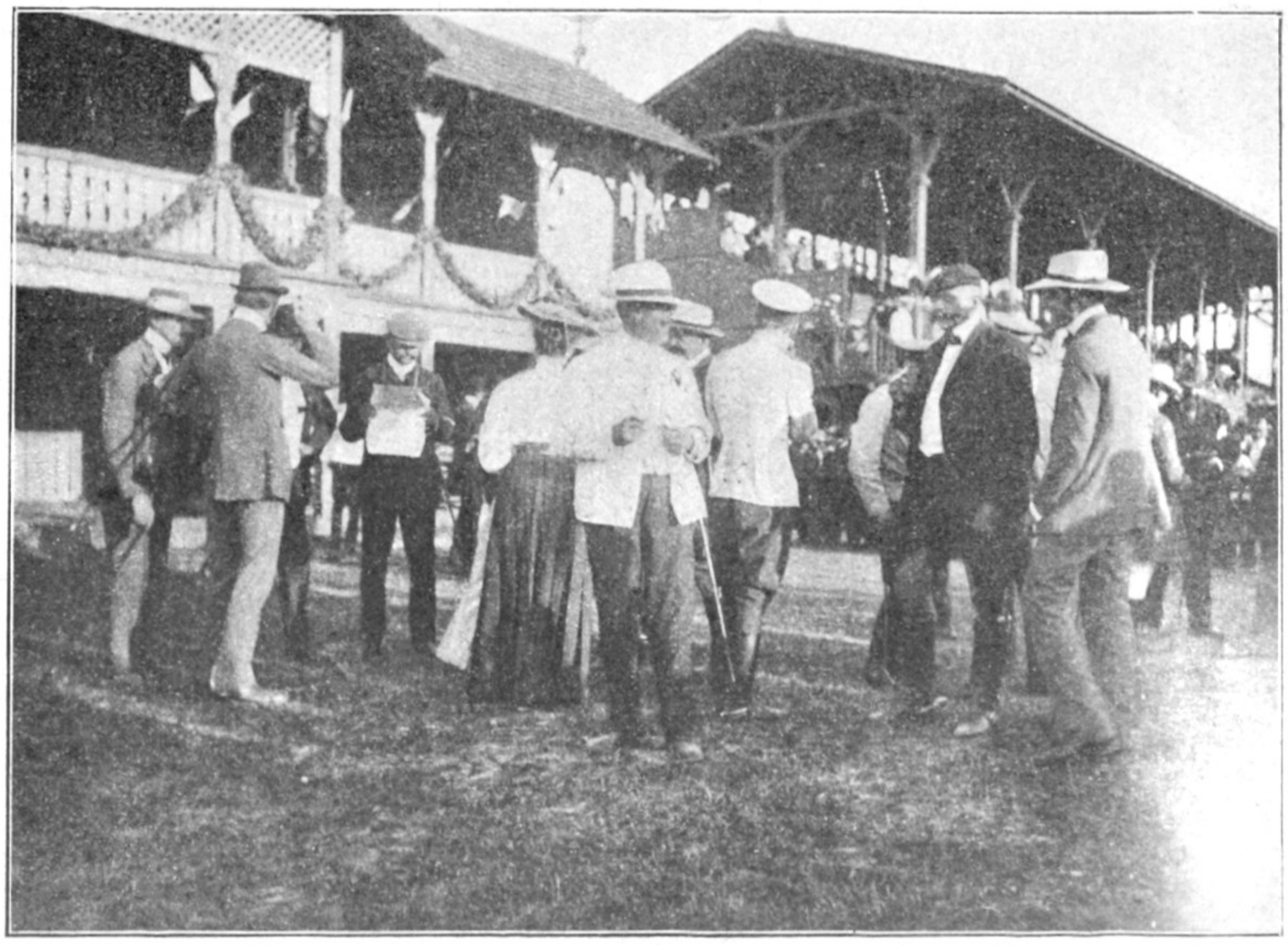

Przy trybunach.

Wyścigi konne w Piotrkowie.

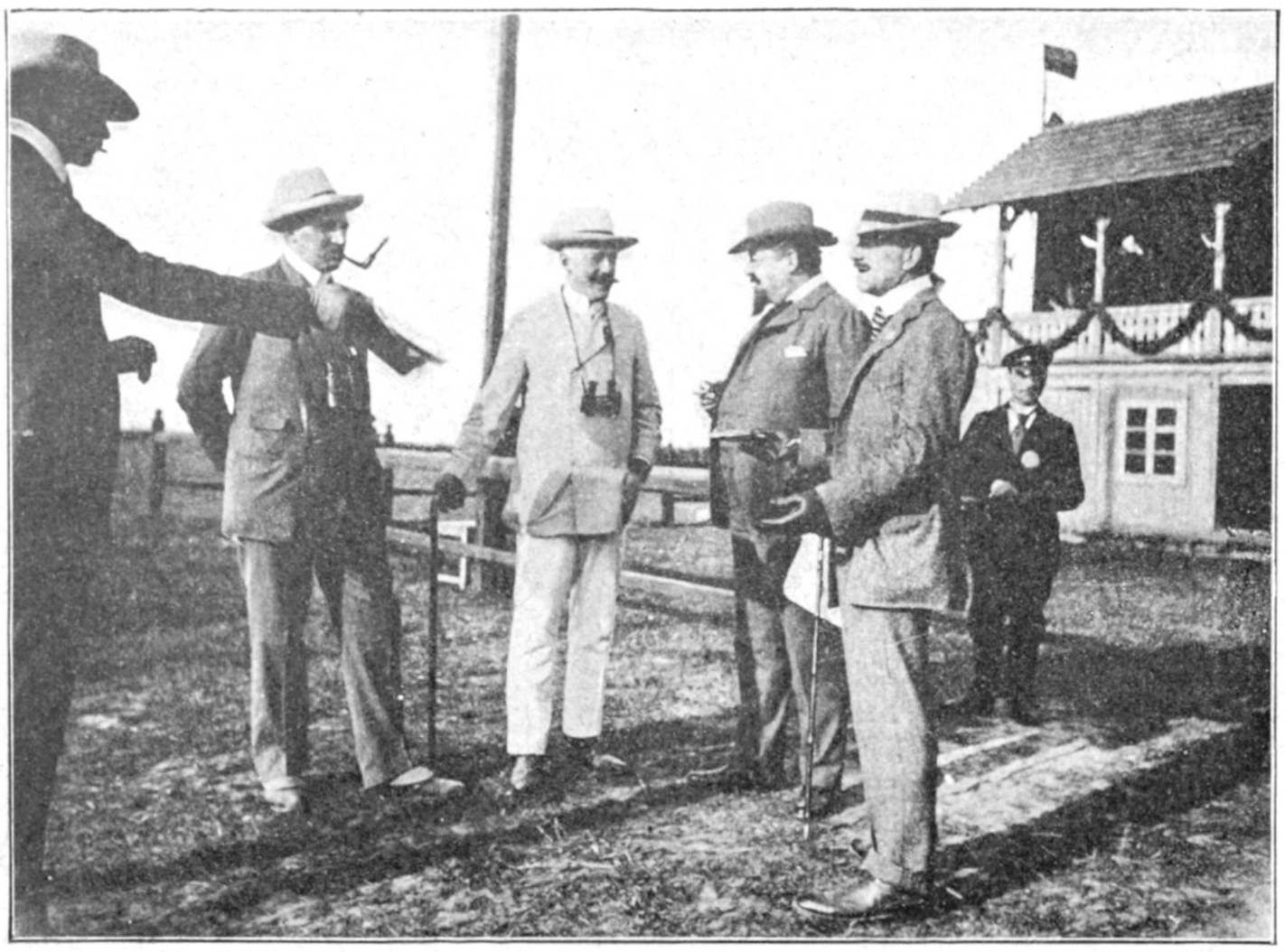

Po skończonym biegu. Sędziowie: Józ. hr. Giżycki, Margr. Alex. Wielopolski, Stan. August hr. Potocki, Edward Reszke, Tad. Dachowski.

Uczony, który nie mógł być profesorem uniwersytetu warszawskiego.

ALEKSANDER REMBOWSKI.

Najwybitniejszy z naszych pisarzów politycznych nie żyje. Dawne urządzenia Rzeczypospolitej znalazły w nim badacza, sumiennego i umiejętnego zawsze, surowego nieraz, przesiąkniętego przytem miłością tego, co w przeszłości naszej kochania było warte. Rembowski kształcił się, po ukończeniu prawa w Warszawie, w Heidelbergu. Głównem jego dziełem jest „Konfederacya i rokosz w dawnem prawie polskiem“. Głośnemi były jego polemiczne starcia z Karejewem o charakter i organizacyę sejmu polskiego, którego znakomity uczony rosyjski zupełnie nie rozumiał. W innych warunkach, normalnych, Rembowski byłby świetnym profesorem, stworzyłby szkołę, pomysły miał bowiem oryginalne; wykształciłby falangę uczniów, pomimo bowiem pewnej szorstkości, rozbudzać umiał szacunek i przywiązanie ludzi. Oto kilka tytułów ważniejszych prac jego: „Publiczne gospodarstwo gminne“, „Sejm czteroletni Kalinki“, „Rokosz Zebrzydowskiego“, „Historya pułku szwoleżerów“, ostatnie źródłowe większe dzieło Rembowskiego. Przed kilku laty większe i mniejsze prace, krytyczne te ostatnie, przebrał i wydał w zbiorowych „Pismach“ swoich. Śmierć zabiera nam postać bardzo typową w życiu warszawskiem. Rembowski lubił „mówić prawdę w oczy“, a że, pomimo suchej ręki, był strzelcem pierwszorzędnym, stanowił więc nieraz „stałe niebezpieczeństwo“ w towarzystwach. Ustępowano mu jednak więcej przez szacunek, aniżeli przez strach, był to bowiem człowiek czysty i dobry. Umiał on przez sekret swój własny łączyć szorstkość z rzeczywistą uczynnością, a ci, którzy potrzebowali dla studjów dokumentów z bogatej książnicy Krasińskich, znajdowali w Rembowskim (który przez wiele lat był bibliotekarzem zbiorów) pomoc obfitą i pozytywną. Polityką chwili obecnej zajmował się gorąco, ale jako obywatel, nie jako pisarz. W walce stronnictw udziału czynnego piórem nie brał: ograniczał się do wyłuskania z badań nad przeszłością tego ziarna prawdy, które za wskazanie pokoleniom obecnym służyć mogło i powinno.

Z teatru.

Któż nie pamięta potężnego wrażenia, jakie w całym świecie cywilizowanym wywołała powieść Leona hr. Tołstoja, — „Zmartwychwstanie“? Przeróbka dramatyczna Bataille'a, którą wystawił w ubiegłym tygodniu teatr łódzki, goszczący w Filharmonii, daleką jest od oryginału. Zginął w niej bezpowrotnie głęboki problem psychologiczno-społeczny, postawiony i poważnie rozwiązany przez wielkiego pisarza i myśliciela. Został melodramat zajmujący i malowniczy,—tem więcej zajmujący, że sztuka była wyreżyserowana i grana w większości ról starannie.

K.

Nieznany portret Tadeusza Kościuszki.

Tło ciemne. Mundur krakusów biały. Na głowie konfederatka karmazynowa. Postawa siedząca naturalnej wielkości.

Do tego portretu Tadeusza Kościuszki przywiązaną jest następująca legenda którą powtarzamy bez zmiany, tak jak ona się utrzymuje w tradycyi rodziny Stankowiczów.

Po rewolucyi 1831 r. służył w Warszawie, jako oficer w pułku ułańskim, rosyanin Platon syn Michała Stankowicz. Obraz ten przez niego został kupiony na licytacyi w pewnym zamożnym (niewymienionym) domu polskim. Matka Stankowicza była polką i katoliczką. a zarazem skuzynowaną z rodziną Estków (matka Kościuszki była z domu panna Estek); znała też osobiście bardzo dobrze Kościuszkę, syn więc, kupiwszy wspomniany portret, dał go matce w upominku.

W następstwie portret ten końmi (podróżowało się wówczas własnymi końmi) Platona Stankowicza przewieziony został do jego rodzinnego majątku Otradowki w gubernii Charkowskiej. Po śmierci właścicielki obrazu, pani Stankowiczowej (umarła w Sławiańsku, gub. Charkowskiej) portret ten przeszedł drogą spadku do rodziny po drugim jej synie Mikołaju, gdyż Platon umarł bezdzietnie.

Portret Tadeusza Kościuszki.

Nakoniec uwaga. O ile właściciel dzisiejszy portretu nie rozporządzi nim za życia, będzie on wywieziony do Francyi i oddany prawem dalszego dziedzictwa rodzinie pp. *Tomine*, w Paryżu stale mieszkającej. Pani *Tomine* jest córką znanej śpiewaczki *De-la-Grange* i trzeciego syna Stankowiczowej, Grzegorza.

W obawie, by portret nie uległ zniszczeniu przy spodziewanych rozruchach agrarnych, przewieziony został z majątku Otradowka do miasteczka *Sławiańska* w gub. Charkowskiej.

Konkurs wyżłów Tow. Racyonalnego Myśliwstwa.

Sędziowie i myśliwi, wraz z psami, w polu podczas akcyi głównej.

Jeden z myśliwych, pan Szóstak, ze swym „Mylordem", który otrzymał 40 rb. — „Mylord" wystawia kuropatwę.

Grupa sędziów, myśliwych i psów, stających do konkursu.

Echa zamachu na prezesa ministrów Stołypina.

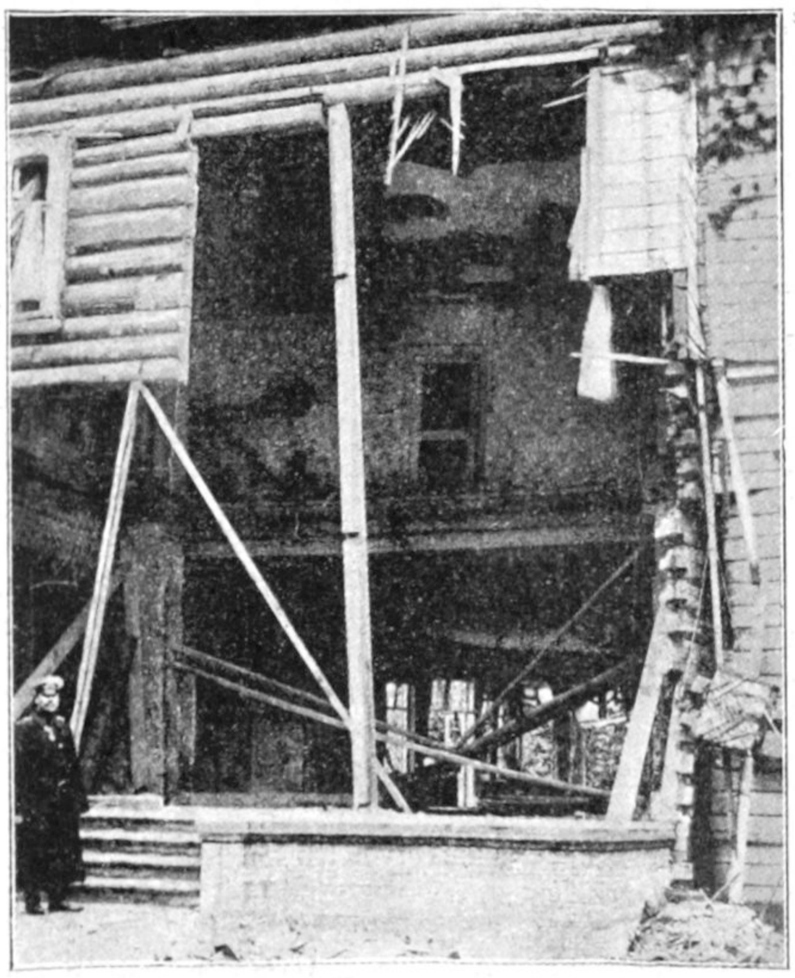

Jak wygląda willa po zamachu.

Kareta, którą przyjechali sprawcy zamachu.

Ostatnia fotografia artystki.

Pani Przybyłko-Potocka, opuszcza scenę warszawską

Niunia w „Kolacyjce".

Gdzie się dwóch ... sprzecza, tam trzeci korzysta. Niezawsze. Na nieporozumieniu pomiędzy p. Przybyłko-Potocką a dyrekcyą teatrów „trzeci" to jest my, publiczność warszawska, straciliśmy i to nawet wiele, bo znakomitą i ulubioną artystką.

Tak jest. Pani Przybyłko-Potocka usuwa się ze sceny. Miejmy nadzieję, że nie na zawsze. Gdy czasy powszechnego zdenerwowania przeminą

Rola Elki w sztuce p. Zapolskiej „Ahaswer".

Pani Przybyłko-Potocka „intime".

może i artystka do Warszawy powróci i znowu będziemy ją podziwiali w tych jej doskonałych kreacyach, które dlatego pewine są tak doskonałe, że nie czuć w nich wcale „kreacyi". To życie.

Rola Elki w sztuce p. Zapolskiej „Ahaswer".

Wdzięk, naturalność, szczerość stanowią główne cechy talentu pani Potockiej. Podziwialiśmy je we wszystkich rolach, jakie odtwarzała na scenie warszawskiej, a było ich tyle, i zawsze wychodziliśmy z teatru pod jednem wrażeniem: to nie artystka grała, to żył człowiek, który się cieszył, płakał, smucił...

A my z nim przez tę parę godzin do ostatniego zapadnięcia kurtyny.

Dość tu wspomnieć „Ahaswera" Zapolskiej.

I dla naszej komedyi i dramatu ustąpienie p. Przybyłko jest więc stratą ciężką. Łatwo nasuwa się pytanie: „Kto ją zastąpi?" ale odpowiedź znaleźć trudno. I ostatecznie ta jedna

roli tyt. w kom. Walewskiego „Kopciuszek".

tylko pociecha, że zapewne to nie nadługo i że publiczność warszawska powita wkrótce owacyjnie artystkę, która, wypocząwszy w Zakopanem (tam podobno wyjeżdża), z nowym zapasem sił i energii wróci na tę scenę, której tak niezbyt długo jak na lata—ale tak świetnie służyła.

W.

Z literatury.

„Książnica" ogłosiła niedawno drukiem utwór satyryczny p. Wacława Grubińskiego pod wielce obiecującym tytułem *„Uczta Baltazara"*.

Książka niewielka, osiemdziesiąt kilka stroniczek mająca. Młody autor podejmuje temat, który najwidoczniej przerasta siłę jego wyobraźni i inteligencji. Wydaje mu się, że państwo, to żarty, że ci, co chcą dane formy jego zachować—to jacyś aktorzy operetkowi, a idea organizacyi, w którą się społeczeństwo zwarło — to błazeństwo. Dlatego też w państwie Baltazara 101-go (czemu np. nie 133?) jedynym człowiekiem jest błazen. I ten też gra, obok samego Baltazara, główną rolę. Tragiczny zgon despoty w stroju wesołka, wobec zwycięskiej rewolucyi jest poprostu pomysłem niesmacznym. Autor chce, żeby to była satyra na konający despotyzm monarchiczny, ale satyra ma zwykle zasadniczy ton poważny. Stare formy państwowe walą się, ale ten proces nadchodzącej katastrofy to nie żart, nie humoreska — to tragiedja. Moc rewolucyi walczy z mocą przeżytej, wynaturzonej państwowości, ale nie z błazeństwem, bo na zwalczenie błazeństwa nie potrzeba żywiołowego rozpędu społeczeństwa całego. Operetkowe to państwo, operetkowy to Baltazar 101-szy, operetkowa śmierć jego i operetkowa rewolucya... Żeby zobrazować na tłach ogólnych taką katastrofę, jaką miał na myśli autor, na to potrzeba, oprócz talentu, wyczucia pewnych idei, praw, zasad historyozoficznych, pewnej kultury umysłowej — a tego wszystkiego nie widać w „Uczcie Baltazara".

Z tego utworu wyłania się tylko zdolność pisarska i umiejętność operowania dość swobodnego zdaniem plastycznem i obrazowem. A to już bardzo wiele, albowiem wykształcenie można dopełnić przy dobrej woli, treść intelektualną można nabyć, ale z talentem trzeba się urodzić. Otóż p. Grubiński niewątpliwie urodził się z talentem — i dlatego mamy prawo odeń żądać rzeczy pod względem ideowym głębszych i lepiej pomyślanych.

Antoni Miecznik.

Z prasy.

Orędownik z pod Jasnej Góry i Ostrej Bramy. Pod tym tytułem zaczął wychodzić w Warszawie miesięcznik ilustrowany poświęcony, jak zapowiedziano w prospekcie, „dla wszystkich warstw naszej Ojczyzny—dla wszystkich, komu droga wiara katolicka, ideały narodowe, a nadto cześć i chwała Najświętszej Królowej Korony Polskiej“. W ostatnim numerze pisma, między innemi, znajdujemy prześliczny poetyczny obrazek Henryka Sienkiewicza p. t.: „Modlitwa drzew“ i „Sen chwały“ pieśń historyczną Kazimierza Glińskiego. Kierownikiem literackim *Orędownika* jest ks. Kazimierz Siedlecki, który, jak widać z nadesłanych nam numerów, będzie w możności doskonale się wywiązać z obowiązków redaktorskich. Umiejętne połączenie treści religijnej ze świecką, praktykę życiową na względzie mającą, dodatnio wyróżnia nowe pismo z pośród wielu innych dla szerokich sfer społeczeństwa naszego przeznaczonych.

Odpowiedzi Redakcyi

Pannie I. Ż.—Nie umieścimy wierszy.

P Maryi R. z Baku. Tłomaczeń z zasady nie drukujemy w „Świecie“. Rękopis przesłaliśmy redakcyi „Prawdy“, którą poprosiliśmy o wskazanie Sz. Pani adresu p. S.

Elem. Wiersz słaby.

P. Wil. Wiersza „Jak sen“ nie wydrukujemy.

P. St. A. Brz. z Brz. „Szkielet“ nie nadaje się do „Świata“.

Agarowi. Jest myśl piękna, ale, niestety, w formę zbyt chropowatą ujęta. Nie możemy skorzystać.

P. W. K. Artykuł „Rozwiązana Duma“ zatrzymaliśmy do zwrotu.

P. Idz. Stosownie do życzenia zniszczyliśmy.

Itka. Z tego ziarna chleba nie będzie.

Prenumeratorce. Dziękujemy za pamięć. Z utworu „Rybak“ skorzystać nie możemy.

P. Zdz. Kuźma. Wierszyk bardzo słaby.

S. W. Utwory są wcale niezłe, jest w nich ton szczery poezyi, ale dla braku miejsca w piśmie drukować nie będziemy.

Mr. Gł. Nie wydrukujemy.

Nadesłane.

OBRAZY do zbiorów i galeryj. Wystawa do godz. 8-ej. Salon **St. Kulikowskiego, Marszałkowska 129. I-sze piętro. Telefon № 25 25.** (366)

Książki nadesłane.

× M. E. Delle Grazie: „*Miłość*“ i inne opowiadania. Tłumaczyła Ewa Abranowiczowa. Jan Fiszer. Warszawa. 1906. Str. 157.

Wytwornie wydany tom zawiera w poprawnym przekładzie następujące nowele i opowiadania: Pierwsza miłość, Pieśń gminna, Dusza, Grzech, Matka, których treść zaczerpnięta została z przejawów rzeczywistego życia.

× Kazimierz Zdziechowski: „*Przemiany*“. Powieść w dwóch tomach. Warszawa—Kraków. 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa.

× X. Teodor Pajączkowski: „*Golgota Polska*“. Z ilustracyami. Warszawa. 1906. Nakładem autora.

Niewielka książeczka, w której autor, z okazji 900-letniej rocznicy fundacyi kościoła Ś-go Krzyża na Łysej Górze, podaje wiązankę wiadomości przeważnie historycznych dla użytku pątników i przygodnych turystów.

× „*Centralna stacya metereologiczna*“ przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, 1905. Z mapą stacyj metereologicznych Sieci Warszawskiej. Warszawa. 1906. Str. 26.

Bardzo starannie dokonana odbitka z „Wiadomości matematycznych“, zawierająca informacye dokładne, dotyczące pomienionej instytucyi.

× Władysław Studnicki: „*Konstytucya rosyjska i prawno-państwowe stanowisko Królestwa Polskiego*“. Warszawa. 1906. Nakładem księgarni E. Wende i Spł. Str. 68.

Wyborne studium prawno-polityczne znanego publicysty, przydatne do orientowania się w zawikłanej sytuacyi, jaka się wytworzyła po ogłoszeniu konstytucyi rosyjskiej w roku przeszłym.

× Wasyl Stefanyk: „*Klonowe liście*“. Z ukraińskiego przełożył Michał Moczul-

Z teki humorystycznej Fr. Kostrzewskiego.

— Chciałem wyjść na miasto — ale się boję — jakiś ciągły ruch!..

— E, to tak jeden za drugim biega — żeby gdzie złapać trochę gotówki.

Na gorącym uczynku.

— Taki mały i już kradniesz... wstydź się!

— Niech się pan gorzej wstydzi — że pan taki duży i nic pan nie ma w kieszeni!

Chuligani.

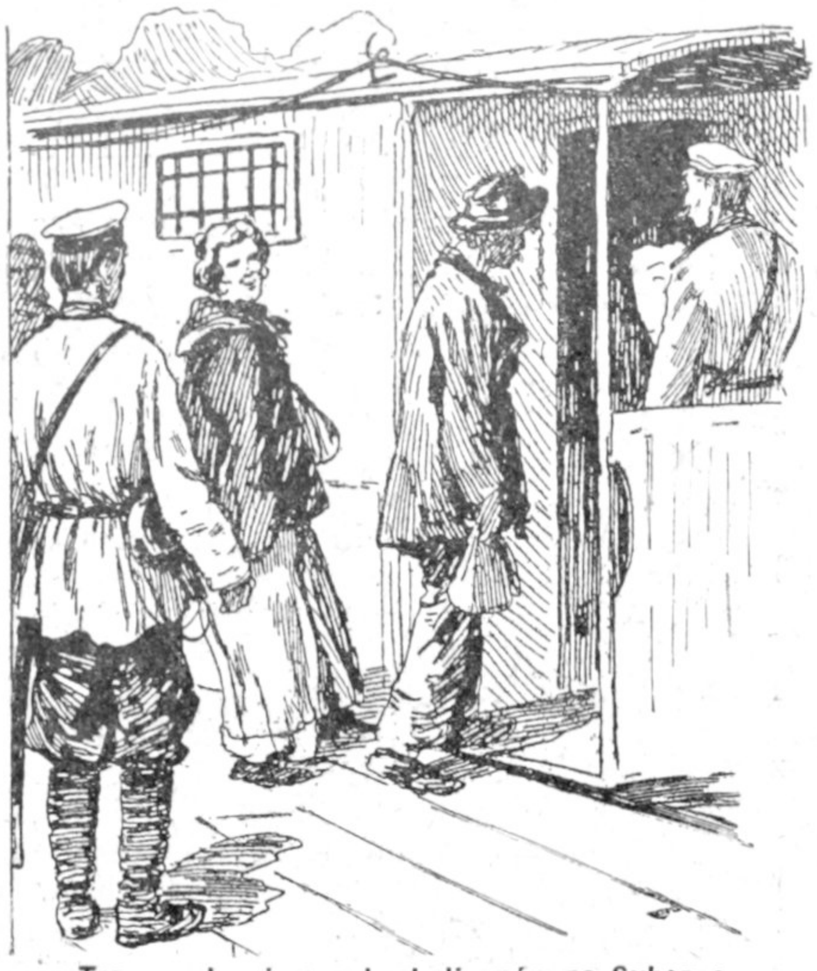

Transport pojmanych chuliganów na Syberyę.

Obława na chuliganów w lesie.

ski. Lwów. 1904. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Sp. Str. 175.

Tom nowel, w którym autor Rusin językiem jędrnym i obrazowym kreśli obrazki z życia ludu ukraińskiego. Tłomaczenie poprawne.

Nakładem ruchliwej Księgarni Popularnej zostały wydane następujące broszury, które ze względu na przełomowy okres naszych czasów, przedstawiają pewien interes dla ciekawego i na sprawy społeczne wrażliwego czytelnika.

× Lissagaray: *„Historya komuny paryskiej“*. Przełożył Adolf Strzelecki. Str. 32.

× B. Backs: *„Wielka rewolucya francuska“*. Przełożył Adolf Strzelecki. Str. 88.

× August Bebel: *„Kobieta“*. Str. 51.

× Książki Koźmiana: *Podróże i Polityka* wyszło drugie wydanie w dwóch tomach nakładem drukarni *Czasu*. Są tam dwa rozdziały: *Z podróży do Kijowa* i *Z pobytu w Warszawie* które są aktualnemi i budzą żywe zajęcie w związku z rozgrywającemi się wypadkami.

× *„Lud a duchowieństwo“* przez ks. Prawdzica. Warszawa 1906. Druk Piotra Laskauera. Str. 136.

Autor potępiając formalistykę obrzędową, mistycyzm mankietni czy, nawołuje księży do pracy społecznej nad ludem. „Krzewmy — powiada — obrzędowość zewnętrzna, ale na fundamencie religijności wewnętrznej“. Książeczka dla różnych względów warta przeczytania.

× *„O formach przedstawicielstwa narodowego“* N. A. Rożkowa. Przełożył K. Kuszell, Wydawnictwo „Biblioteczki ekonomiczno-politycznej“. Nakł. księgarni popularnej. Warszawa 1905. str, 31. Cena 8. kop.

Autor staje w obronie powszechnego, bezpośredniego i równego prawa wyborczego, Przekład p. Kuszla nie pozostawia nic do życzenia, jest ścisły i zaleca się dobrym językiem.

—„Dr. E. Vogel *„Podręcznik fotografii praktycznej“* opracował wedle 14 wydania niemieckiego Stanisław Szalay. Berlin. Gustaw Schmidt. Warszawa Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

Format tej niezbędnej dla fotografów książki praktyczny; wydanie wytworne.

Kwartalnik teologiczny, czasopismo poświęcone wiedzy katolickiej, wydawane przez ks, A. Szaniawskiego. Rocznik IV. zeszyt I i II, Warszawa 1905.

Zasługuje w tym tomie na uwagę początek studium ks. prałata Stanisława Chodyńskiego p, t.: „Biskupi sufragani Włocławscy:“ Rzecz ciekawa i doskonele opracowana, stanowi też niepośledniej wartości przyczynek do dziejów kościoła polskiego.

Treść № 37 „ŚWIATA” z d. 15 Września

„Karta albumowa” „Wyzwolenie“ *Gabowicza.*
„Niedoszłe powstanie polskie w roku 1877.” (Z 2 ilustr.) *Ant. Chołoniewski.*
Emilia Platerówna”. (Z 4 ilustr.) *W. Gomulicki.*
„Tow. dziennikarzy polskich”. (Z 8 ilustr.) *A. I.*
„Podróże i podróżni”.
„Zaszumi las”. Powieść *Gabryeli Zapolskiej.*
„Szlakami kataklizmów w przyrodzie” (Z 2 ilustr.) *am.*
„Esperanto w Galicyi”. (Z 1 ilustr.) *Lubicz.*
„Liść”. *El.*
„Życie literackie we Francyi”. *J. Lorentowicz.*
„Rondo”. *Władysław Nawrocki.*
„Błękitny dyament”, (Z 3 ilustr.) *Światowy*
„Tow. opieki nad pamiątkami historycznemi”.
„Dla dziatwy robotniczej Niekłania. (Z 2 ilustracyami.)
„Bomba”. *Włodzimierz Perzyński.*
„Pomnik Staszyca” (Z 3 ilustr.)
„Otwarcie nowej szkółki Macierzy dla dzieci Powiśla”. (Z 1 ilustr.)
„Felieton Warszawski”. *Kedivivus.*
„W około sportu”. (Z 5 lustr.) *Niesporstman.*
„Uczony, który nie mógł być profesorem uniwersytetu warszawskiego”. (Z 1 ilustr.)
„Z teatru”. *K.*
„Nieznany portret Tadeusza Kościuszki”. (Z 1 ilustr)
„Pani Przybyłko-Potocka, opuszcza scenę warszawską”. (Z 6 ilustr.) *W.*
„Z literatury”. *Ant. Miecznik.*
„Z prasy”.

ODDZIELNE ILUSTRACYE:

„Brzask“ *Lingner.* Konkurs wyżłów Tow. Racyonalnego Myśliwstwa (3 ilustr.) Echa zamachu na prezesa ministrów Stołypina (2 ilustr.) Z teki humorystycznej Fr. Kostrzewskiego. Chuligani. Echa zamachu w Interlaken.

Echa zabójstwa w Interlaken.

Karol Müller.

M. Durnowo.

Lampy, Porcelanę, Szkło, Fajans, Majoliki, Galanterję etc.
Serwisy stołowe w wielkim wyborze:
Wysortowane fajans. białe od rb. **4.50,** malowane od rb. **10.**
„ porcel. „ „ „ **12.** — „ „ „ **20.**
„ szklane gładkie „ **5.** — dekorowane „ **13.**
Żyrandole kościelne i salonowe
poleca

„F. KOZŁOWSKI”.

obecnie

S. Nowacki i W. Chojnowski

Warszawa, Rymarska № 7 róg Leszna. Telefon 3999.
Wynajmuje zarazem kompletne stołowe serwisy, platery, krzesła, stoły, bieliznę stołową, lampy, żyrandole etc. etc. (556)

Wydawcy: Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Redaktor: Stefan Krzywoszewski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zyblikiewicza № 1.